WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 130 31 X 1989 r. Cena 110 zł

Znów pójdziemy odwiedzić cmentarze, to przecież Święto Zmarłych. W tym roku często nas tam wiodły rocznicowe wspomnienia wojennych dni śmierci i grozy. Ale nie tylko wojny zabierają nam bliskich – odchodzą na zawsze w zwykłe, powszednie, szare dni. Codziennie ktoś rozstaje się z bliską osobą i rozpaczliwie trudno godzi się z myślą, że to ostateczna rozłąka, rozstanie na zawsze... Chcemy zachować żywą pamięć o naszych zmarłych jak najdłużej. Kładziemy na ich grobach kwiaty, palimy znicze na znak, że nie zapomnieliśmy.

Czy ktoś pamięta o grobach naszych bliskich rozsianych gdzieś po dalekim świecie? Chcemy żywić nadzieję, że tak.

A czy my potrafimy wzbudzić w sobie szacunek do śmierci znaczonej obcymi grobami na naszej ziemi? Gdzieś daleko od Polski ktoś dotknięty boleśnie tą śmiercią żywi nadzieję, że tak...

Fot. **M. Szymański**

„Od lat zabiegałem o cześć i godność białego orła..."

(PAP). Historyk koszaliński Marian Czerner – jak sam mówi – *„zabiega o cześć i godność białego orła, godła państwa polskiego".*

Wszyscy wiedzą, nawet ten *„Polak mały"* z wierszyka, że polski orzeł jest biały. A tymczasem orzeł na ratuszu w Poznaniu jest zielony, orzeł na Grobie Nieznanego Żołnierza brązowy, orły na studni Neptuna w Gdańsku złote, orzeł na oznace PRON biało-czerwony, orzeł w jednej z sal sejmowych czarny, a orzeł na fotelu prezydenta PRL jest brunatny!

Artykuł 103 Konstytucji i związana z tym ustawa stanowią, że orzeł w herbie Polski jest biały w czerwonym polu i nie przewidują żadnych wyjątków – obowiązują one zarówno stolarza, który zrobił fotel dla prezydenta, jak i prezydenta, który na nim zasiada – obowiązuje nas wszystkich.

– *Udało mi się już* – mówi Marian Czerner – *spowodować usunięcie kutego w żelazie czarnego orła z budynku Liceum Sztuk Plastycznych w Koszalinie. Aktualnie toczę sprawę o posrebrzenie czarnego orła na głównej bramie wejściowej na teren Uniwersytetu Warszawskiego...*

FIRMA POETYCKA ZŁOTY SZERSZEŃ

Wakacyjny Konkurs Poetycki

Chwilo, trwaj! Jesteś tak piękna...

★ ★ ★

na fioletowej linii światła
horyzont przysiadł zamyślony
lejąc złocisty zmierzch
w kieliszki

spoglądasz na mnie poprzez
kryształ
uśmiecham się bo wiem że
jutro
już nie będziemy tacy sami

piję nie otwierając oczu
napój sierpniowego wieczoru
o cierpkim smaku
przemijania

„Salome"
Kraków

Kto chce głosować na najlepszy wiersz konkursu, ten niech porówna utwór „Salome" z innymi, drukowanymi w czasie wakacji i obecnie.

(brz)

Piramidy w Polsce?

(PAP). Czy uda się rozszyfrować zagadkę kujawskich i pomorskich piramid – wielkich grobowców z okresu kultury pucharów lejkowatych z ok. 3600-3200 lat p.n.e. Mają one kształt rozległych nasypów ziemnych przykrywających kamienne konstrukcje. Archeolodzy chcą wyjaśnić, czy mają one znaczenie astronomiczne – czy mogły np. służyć jako obserwatoria do wyznaczania jakiegoś momentu astronomicznego i kalendarzowego, takiego jak letnie lub zimowe przesilenie.

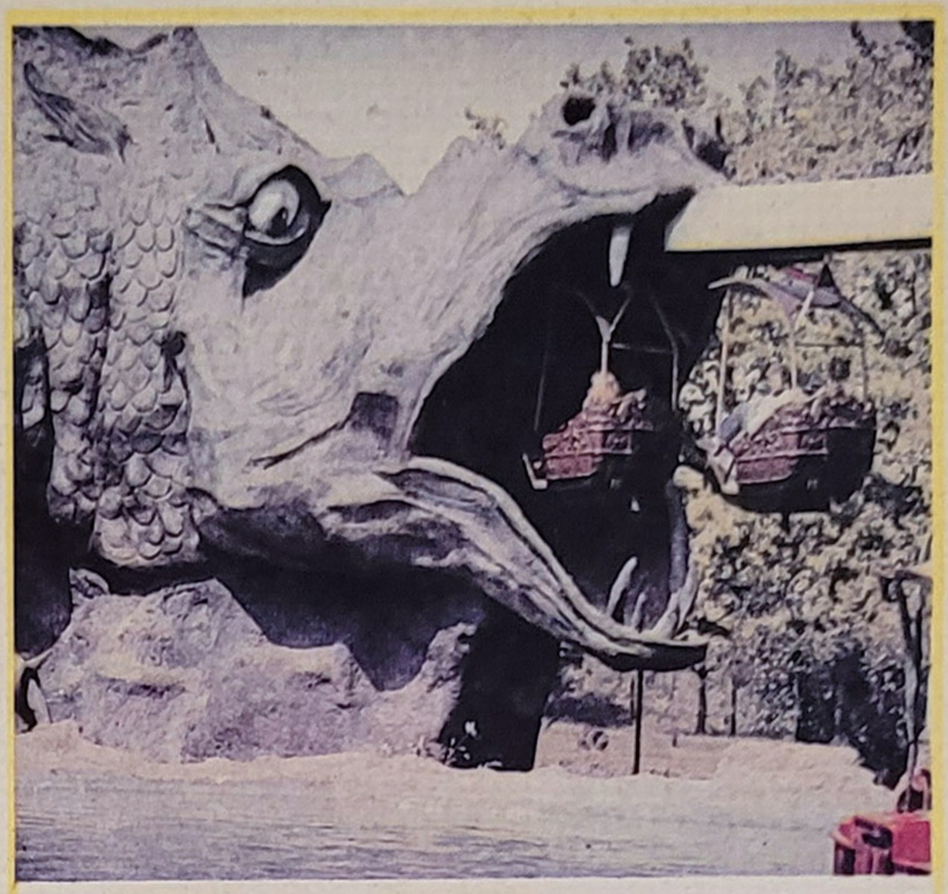

O jeszcze jednym miasteczku zabaw dla dzieci – nazwanym Krajem Fantazji – czytaj na str. 4–5.

ALE FORSA!

Banknotem polskim o najwyższym nominale jest obecnie 20 000 zł. Należy się spodziewać, że pojawi się jeszcze wyższy, szalejąca inflacja sprawia, że coraz częściej zaczynamy operować milionami, miliardami, a nawet bilionami. Właśnie deficyt budżetu, o czym dowiedzieliśmy się z obrad sejmowych w końcu września, osiągnie w październiku kwotę blisko 5 bilionów złotych. Czy możecie sobie wyobrazić ile to banknotów dwudziestotysięcznych z wizerunkiem Marii Skłodowskiej-Curie „wchodzi" na bilion? Otóż w bilionie mamy aż 50 milionów tych banknotów. Są one pakowane w paczki po 100 sztuk. A więc bilion to 500 tysięcy paczek. Przeciętna grubość jednej paczki (przy nowych banknotach) wynosi 15 milimetrów. Chcąc więc otrzymać bilion trzeba by ułożyć słup paczek (jedna na drugiej) o wysokości 7 500 000 mm, czyli 7,5 km! Doprawdy, ogromna to masa papieru, przepraszam... forsy.

• Tu Liga Reporterów •

REPORTER Świata Młodych

TAKI FASON?

Co Ci imponuje? Kto Ci imponuje?

Grubiaństwo zatacza coraz szersze kręgi. Plugawy język, ordynarne zachowanie to sposób na życie wielu ludzi czy też tylko **TAKI FASON**, za którym ukrywa się subtelne wnętrze, artystyczna dusza? To maska jedynie, czy prawdziwe oblicze? Jak to oceniasz?

Ten, kto pluje na ulicy, na schodach, w windzie (!) może być w istocie kimś miłym i sympatycznym, czy budzi Twoją niechęć? Ten, kto popycha słabszych od siebie, nie używa słowa przepraszam, jest człowiekiem niezależnym, silną indywidualnością o naturalnym sposobie bycia, czy też po prostu jest wart tego, by od niego stronić, trzymać się z daleka?

Ten, kto dewastuje szkolne sprzęty, siedzenia w środkach komunikacji, psuje automaty telefoniczne i niszczy urządzenia sanitarne w wc, czyni to z potrzeby „wyżycia się", gdyż wszystko inne wydaje mu się nudne, mało zabawne?

Co o tym sądzisz? Czy imponują Ci takie „igraszki"? Rozmawialiście o tym w gronie kolegów? Moda na chamstwo to nic złego?

Nie uprzedzając Twojego sądu – proponuję, by na pewien czas Liga Reporterów zmieniła się w Klan Dżentelmenów, czyli grono ludzi, którzy dostrzegają potrzebę oceny a także zwalczania niespołecznych zachowań prymitywnych odruchów, fasonu na wulgarność.

Co Ty na to? Może masz inną propozycję?

Hasło wywoławcze dyskusji brzmi: **TAKI FASON?**

Szef
Ligi Reporterów
(czasowo przekształconej w Klan Dżentelmenów)

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

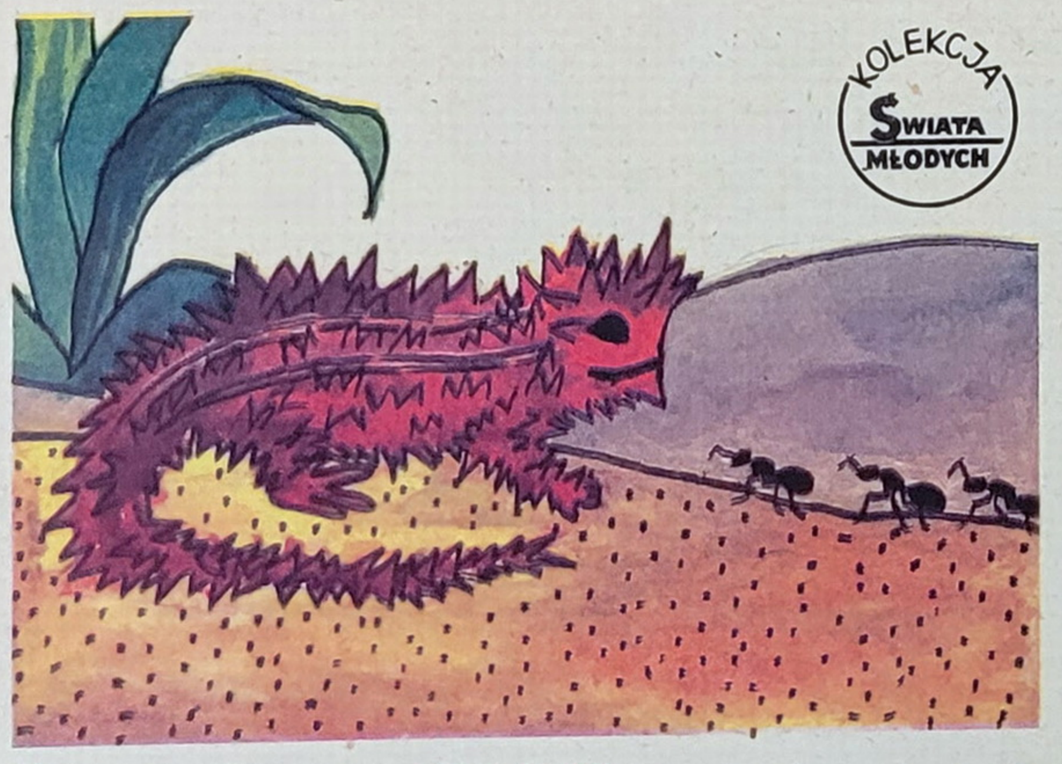

7 Specjaliści w świecie zwierząt

MOLOCH *(Moloch horridus)* I MRÓWKI *(Formicoidea)*

Tom Cruise (tu ze słynnym Dustinem Hoffmanem) – bohater dzisiejszego Gwiazdozbioru – str. 5.

Dwie kolonie, jakże różne...

Do „RP" piszę po raz pierwszy. Skłonił mnie do tego list Kasi z Krasnegostawu (nr 102 „ŚM"). Chcę opisać wakacje, które spędziłam na dwóch koloniach. Na pierwszej kolonii (woj. gdańskie) było bardzo fajnie. Kadra była bardzo dobra; umiała wspaniale zorganizować każdą wycieczkę, wiele razy byliśmy nad morzem. Poznałam tam mnóstwo koleżanek i kolegów. Byliśmy jedną zgraną grupą darzącą się wzajemnym zaufaniem i sympatią. Tej kolonii nigdy nie zapomnę.

Drugą kolonię spędziłam w Zakopanem. Dużo chodziliśmy po górach, byliśmy na skoczni, z kadrą można było wytrzymać. Byłaby to równie udana kolonia, gdyby nie pewna grupa, która paliła i posługiwała się wulgarną „łaciną". Wszystko nam psuli i wiecznie dokuczali. Dzięki sprytowi jednej z wychowawczyń złapano ich na paleniu. Karą miały być listy napisane do rodziców o ich zachowaniu, ale ulitowano się nad nimi. Jedna z dziewcząt wciągnęła w ten nałóg połowę grupy.

I co Wy na to? I co z tego, że zostali przyłapani, jeśli dalej robili swoje?

Nie mogę się pogodzić: dlaczego na jednej kolonii było tak cudownie, a o drugiej nie chce się pamiętać? Może dziewczyna, która nikotyną zatruwała życie wielu dziewczynom, przeczyta mój list i zastanowi się nad tym co robi.

Diana z Wrocławia

Odwracam się plecami...

Moim największym zmartwieniem jest to, że jestem nieśmiała i brak mi pewności siebie. Wiem, że jestem lubiana w klasie i że mogłabym mieć wielu przyjaciół. Niestety! Niech tylko ktoś uśmiechnie się życzliwie czy poda mocną dłoń – nawet w drobnej sprawie – odwracam się plecami i odchodzę, bo wydaje mi się, że mnie nikt nie może lubić... Ja po prostu boję się ludzi! „Różowa tasiemko", jesteś moim ostatnim ratunkiem!!!

„Jenni"

OD REDAKCJI: To, że zdajesz sobie sprawę ze swojego stanu ducha – to już połowa sukcesu! Dlaczego sukcesu? Bo trochę znasz siebie, bo wiesz co Ci przeszkadza normalnie współistnieć z ludźmi. A znając przyczyny, możesz zacząć walczyć sama z sobą. Zdobądź się raz, drugi, trzeci na uśmiech wobec osoby, która pierwsza się do Ciebie uśmiechnie. Podejmij wyciągniętą dłoń, nie odrzucaj. Bo skoro ktoś się do Ciebie uśmiecha, a ktoś inny wyciąga dłoń, oznacza to, że ci „ktosie" Ciebie lubią. A potem już pójdzie łatwo – bo Ty pierwsza się uśmiechniesz, pierwsza wyciągniesz dłoń... (bs)

REPORTER Świata Młodych

Tego nie można zapomnieć

...i tak trafiłem do Królewca

– Wiadomo dziś, że II wojna światowa nie wybuchła niespodzianie. Jakie szczegóły utkwiły Ci w pamięci z tego okresu?

– Były pewne oznaki, lecz myślę, że ludność polska nie brała ich zbyt poważnie. Za bardzo wierzyliśmy we własne siły. Mieszkańcy centralnej części kraju byli mniej zorientowani niż my, którzy mieszkaliśmy około 7 km od granicy Polski z Prusami Wschodnimi. Od 1937 r. często przez moją rodzinną Mławę wieziono żołnierzy ranionych w potyczkach granicznych. Kiedy w sierpniu 1939 r. pojechałem w odwiedziny do rodziny w Warszawie, stryj i jego znajomi oficerowie byli bardzo ciekawi sytuacji panującej na pograniczu. Opowiedziałem więc o napięciu, ewakuacjach ludności i ucieczkach mieszkających w Polsce młodych Niemców, którzy nie chcieli walczyć ze swymi rodakami i obawiali się wcielenia do polskiego wojska.

W październiku 1937 r. wybraliśmy się z klasą na wycieczkę do Gdyni. Przejeżdżając przez Wolne Miasto Gdańsk widzieliśmy z okien pociągu porozwieszane na budynkach hitlerowskie flagi. Przez miasto maszerowała młodzież w mundurach Hitlerjugend i żołnierze SA. Widniały także plakaty w języku niemieckim. Obraz ten zrobił na mnie bardzo przygnębiające wrażenie. Kierownik szkoły wyjaśnił nam, że owe plakaty zawierają hasła antypolskie. Dodał również, że Niemcy żądają przyłączenia Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy. „Nigdy" – z zaciętością odpowiedziała nasza klasa.

– Kiedy i w jakich okolicznościach dowiedziałeś sie, że Niemcy napadli na Polskę?

– 1 września wcześnie rano miałem pojechać do pobliskich Konopek, w których stacjonowało wojsko polskie, po należność za sprzedany im przez ojca żywiec. Kiedy przyszedłem na stację, dowiedziałem się od ojca, który był kolejarzem i miał właśnie służbę, że żadne pociągi z Działdowa nie kursują. Na dworcu panowała pustka, gdyż większość ludności już wcześniej ewakuowała się na mniej zagrożone tereny. Około godziny w pół do szóstej zaczęły padać pociski artyleryjskie wymierzone zapewne w budynek stacji. W drodze do domu dowiedzieliśmy się od żołnierzy, że to wojna. Wszyscy byliśmy jednak tak pewni szybkiego zwycięstwa, że snuliśmy plany o osiedleniu się w Królewcu, gdzie – jak sądziliśmy – łatwiej było o pracę. Czytałem książkę Melchiora Wańkowicza „Na tropach Smętka" i bardzo pragnąłem zobaczyć Warmię i Mazury, poznać tamtejszych ludzi.

Przez trzy dni trwała walka na przedpolach Mławy. Niemcy nie mogli przerwać obrony, zrobili to dopiero w okolicach Janowa i Chorzel. Wojsko polskie broniące miasta musiało się wycofać, bojąc się okrążenia.

– Wspominałeś kiedyś, że Twoja rodzina jako jedna z ostatnich wyruszyła na wojenną tułaczkę?

– Tak. W drogę wyruszyliśmy czwartego dnia wojny, tuż przed wojskami niemieckimi wkraczającymi właśnie do Mławy. Postanowiliśmy skierować się do Wróblewa, lecz wieczorem musieliśmy opuścić wieś, która, choć nie było w niej polskiego wojska, została zbombardowana; kilka osób zginęło. Zapamiętałem widok samolotów niemieckich bardzo nisko i bezkarnie krążących nad wsią. Przed samolotami uciekliśmy do znajomych w Cegielni Ratowskiej. Rano ujrzeliśmy maszerujących polskich żołnierzy i dowiedzieliśmy się, że Niemcy są już w Ciechanowie. Najeźdźcy szybko zajmowali tereny Polski. Gdy ponownie wyruszyliśmy w drogę – znowu zostaliśmy zbombardowani i z przekonaniem, że wszędzie jest tak samo, wróciliśmy do Mławy.

– A jak odczuliście wkroczenie armii radzieckiej?

– O wkroczeniu do Polski armii radzieckiej dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, kiedy z niewoli radzieckiej wrócili moi krewni. Mówili, że Polsce wbito nóż w plecy. Opowiadali o potyczkach wojska polskiego z armią radziecką, a także o segregacji więźniów. Od razu odłączono oficerów, podoficerów i policjantów. Co z nimi robiono, nie było wówczas wiadomo. Funkcjonariusze NKWD oglądali jeńcom ręce. Jeżeli ktoś miał dłonie spracowane – od razu zwalniali do domu. Tym sposobem wrócili moi krewni.

W czerwcu 1941 r. znalazłem się w moim wymarzonym Królewcu, lecz w roli przymusowego robotnika. Pozostałem tam do końca wojny.

Wspomnienia dziadka Stefana spisała Joanna Pałach (członek LR) Olsztyn

Wykonane w 1943 roku w Prusach, podczas robót przymusowych, zdjęcia ofiarowane dziadkowi przez jego ówczesnych przyjaciół, jak i on oznakowanych literami „P". Musieli je zawsze mieć naszyte na ubraniach

Z zimną krwią

„Nie pamiętasz, bo nie możesz
byłeś wtedy małym chłopcem,
gdy twój ojciec z karabinem szedł na bój.
Wśród wystrzałów, huków bomb,
bronił on ojczystych stron,
byś mógł teraz wybudować nowy dom –
– Ojczyznę swą!"

To słowa piosenki, jakże dobrze obrazującej tragiczne lata, w których przyszło żyć naszym dziadkom i babciom – wszystkim! Aby lata 1939-45 nie uległy zapomnieniu, musimy odnajdywać dokumenty świadczące o losie Polaków, jaki zgotował im okupant. Oto wspomnienia mojego dziadka:

„1 września 1939 r. rano dowiedziałem się z radia, że wybuchła wojna. W całej wsi zapanował ogromny popłoch, który znacznie się wzmógł, gdy po południu w sąsiednim miasteczku pożar ogarnął wszystkie młyny, które mełły mąkę dla wiosek i miast z tych stron.

Do 3 września panował poza tym względny spokój. Ludzie zaczęli wierzyć, że może wojna się skończyła? Było to jednak dalekie od prawdy. W pamiętny dzień przed południem odbywała się msza św. na dziedzińcu kościoła, gdy niespodzianie, na błękitnym dotąd niebie, pojawiły się samoloty. Po chwili zaczęły spadać bomby... Udało mi się wyjść cało, ale w wielu domach opłakiwano śmierć brata, matki czy siostry... W nocy większość mężczyzn zdecydowała się uciekać do pobliskich lasów. Było to nierozsądne, ale wtedy wydawało się jedynym ratunkiem.

Z początkiem 1941 r. zapanował głód. Mieliśmy świnię (schowaną przed Niemcami), a ponieważ byłem rzeźnikiem, więc postanowiłem po kryjomu ją zaszlachtować. Niestety, nasz sąsiad poszedł z tą wiadomością na posterunek. W krótkim czasie przybyli Niemcy, skonfiskowali mięso, a mnie zabrali ze sobą. Dotkliwie mnie zbili i jeszcze musiałem zapłacić karę.

W 1943 r. Niemcy chcąc zemścić się na partyzantach, którzy wysadzili ich samochód z bronią, urządzili pacyfikację pobliskiego miasta, a po drodze zahaczyli o kilka miejscowości, między innymi i o tę, w której ja mieszkałem. Szli z wycelowanymi karabinami, wszystko po drodze niszcząc i paląc, zabijając ludzi.

Ostatnie wstrząsające zdarzenie, które utkwiło mi w pamięci, miało miejsce pod koniec wojny, już w czasie odwrotu wojsk niemieckich. Młoda kobieta trzymająca dziecko na ręku usiłowała coś podnieść z ziemi. Koło tego miejsca przechodził może 18- lub 19-letni niemiecki żołnierz; zobaczył kobietę, minął ją, ale po chwili odwrócił się i ...zastrzelił, a dziecko zmiażdżył nogą..."

Niezrozumiałe i okropne wydaje mi się, jak tacy młodzi ludzie z zimną krwią mogli zabijać? Kto w nich zakrzewił tak ogromne uczucie nienawiści?

Aneta Górka (kl.VIII)
Zasań
woj. krakowskie

Oni mieli szczęście

Mam dwóch dziadków, których wojenne losy opowiem: Ryszard Nalewajko – dziadek ze strony ojca w chwili wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku mieszkał w Warszawie. Miał wtedy siedemnaście lat. Podczas oblężenia stolicy uczestniczył, jako sekcyjny, w oddziale obrony przeciwlotniczej. Kiedy Niemcy utworzyli getto dla żydowskiej ludności Warszawy, przeprowadził się z ul. Niskiej, gdzie mieszkał z rodziną, na Stare Miasto.

Od początku okupacji znalazł się w konspiracji, potem zaś został żołnierzem Batalionu Sztabowego przy Komendzie Głównej Związku Walki Zbrojnej. Kiedy utworzono Armię Krajową, batalion ten został przekształcony w Pułk Dyspozycyjny Komendy Głównej AK „Baszta". Do wybuchu Powstania Warszawskiego dziadek brał udział w akcjach zbrojnych przeciwko hitlerowcom, przeszedł też przeszkolenie z zakresu dywersji. Podczas Powstania walczył na terenie Mokotowa, Czerniakowa i Sadyby. W ostatnich dniach Powstania był ciężko ranny w brzuch i znalazł się w szpitalu sióstr elżbietanek. Szpital ten został zbombardowany i dziadek ponownie został ranny, tym razem w głowę. Po upadku Powstania, kiedy podpisano kapitulację, dziadek został wywieziony do niemieckiego szpitala wojskowego w Zethein. Po zaleczeniu ran Niemcy wysłali go do obozu jenieckiego w Mulberg. W kwietniu 1945 roku obóz ten wyzwoliła Armia Czerwona i dziadek powrócił do domu.

Dziadek ze strony mamy, Lucjan Kałużny, urodził się we wsi Łężce w woj. częstochowskim, niedaleko granicy polsko-niemieckiej, toteż wkrótce po zajęciu kraju przez Niemców został wraz z innymi Polakami wywieziony w głąb Rzeszy. Jako przymusowy robotnik pracował w gospodarstwie niemieckiego bauera, który znajdował się na froncie, a gospodarstwem rządziły jego matka i żona, mająca czworo dzieci. Podczas cofania się armii niemieckiej rodziny bauerów z tej części Rzeszy wraz z polskimi robotnikami i całym dobytkiem ewakuowano do Czechosłowacji. Dziadek z rodziną bauera przybył w okolice Karlowych Warów. Po wyzwoleniu Czechosłowacji był świadkiem, jak owacyjnie witała ludność powracającego do ojczyzny Edwarda Benesza, prezydenta.

Obaj dziadkowie powrócili szczęśliwie do domu, ale w wyniku wojny zginęły trzy osoby z naszej rodziny. Brat dziadka Lucjana zginął tragicznie w 1946 roku w Elblągu. Wuj dziadka Lucjana poszedł na wojnę i już z niej nie powrócił, a przyrodni brat dziadka Ryszarda zginął od niewypału w 1945 roku.

Chcę jeszcze dodać, że mama dziadka Lucjana, a moja prababcia, wpajała w dzieci miłość do polskiej ojczyzny, mimo że jej rodzice byli pochodzenia niemieckiego. Tak więc nieco niemieckiej krwi płynie w żyłach mego dziadka, który walczył przeciwko Niemcom...

Joanna Nalewajko
Warszawa

Półpustynie Australii sprawiają wrażenie prawie pustych przestrzeni z czerwonawym piaskiem, rzadkimi krzaczkami i kamienistymi wzgórzami. Jest tutaj jednak wiele interesujących roślin i zwierząt. Bajecznie barwne gekony, liczne kolorowe ptaki, różnorodne torbacze i moloch. Molochy podniecały wyobraźnię pierwszych podróżników i przyrodników w Australii. Są to 20 cm jaszczurki o bajkowym wyglądzie. Całe pokryte kolczastymi wyroślami przypominają brązowy kaktus. Ufne swojej ochronie są powolne, a dla terrarystów pozostają nieosiągalnym marzeniem. Nie wynika to tylko z zakazu wywozu jakichkolwiek zwierząt z Australii, ale również z niesłychanych trudności z utrzymaniem molochów w niewoli. Są to bowiem specjaliści odżywiający się tylko i wyłącznie mrówkami. Moloch poszukuje w swoim otoczeniu jak największego mrowiska i ścieżki mrówek. Później ustawia się na trasie przemarszu mrówczych robotnic i kolejno je połyka. Jest to jednak ciężka praca, bo moloch musi dziennie zjeść armię mrówek.

Może molochy byłyby rozwiązaniem problemu mrówek faraona w naszych mieszkaniach? **(ak)**

Rys. **Ewa Sienkiewicz**

Jeżeli wklejasz serię do zeszytu – pokryj klejem tylko to miejsce!

CO SIĘ DZIEJE ZA MIEDZĄ?

Zaabsorbowani zmianami we własnym kraju, często nie dostrzegamy, a może tylko nie doceniamy przeobrażeń dokonujących się wokół nas. A przecież dzieją się rzeczy ważne, być może nawet decydujące o przyszłości nie tylko Polski, ale całych regionów środkowo-wschodniej Europy. Masowe ucieczki Niemców z NRD do RFN czy obywateli bułgarskich pochodzenia tureckiego do Turcji lub Węgrów rumuńskich do Węgier to pierwsze z brzegu przykłady, które wpływają na klimat stosunków europejskich. Niestety, nie najlepszy. Mnożą się wzajemne oskarżenia państw o gwałcenie lub nieprzestrzeganie przyjętych zobowiązań.

Jeszcze burzliwsze przemiany zachodzą u naszego wschodniego sąsiada. Tam głasnost i pieriestrojka (jawność i przebudowa) doprowadziły do istnej lawiny ruchów narodowościowych w poszczególnych republikach. Właśnie problemy narodowościowe stały się obecnie tematem numer jeden we wszystkich radzieckich środkach przekazu – telewizji, radiu i prasie. 15 republik, 28 regionów autonomicznych, 100 grup etnicznych, 70 grup językowych – oto skala radzieckiej mozaiki narodowościowej. I teraz właśnie niemal wszyscy domagają się samodzielności, poszanowania własnych aspiracji kulturalnych, językowych, religijnych, gospodarczych, a nawet odłączenia, jak to ma miejsce w republikach nadbałtyckich – Litwie, Łotwie i Estonii. Jest to typowa reakcja na długotrwałe tłumienie ambicji poszczególnych narodów wchodzących w skład ZSRR.

Wszystko zaczęło się gwałtownie, krwawymi starciami, do których doszło w 1986 roku w stolicy Kazachstanu, Ałma Acie. Wydarzenia w Azji Środkowej stały się wówczas prawdziwym zaskoczeniem dla opinii publicznej. Przecież przez wiele dziesięcioleci w świadomości ludzi radzieckich pielęgnowany był obraz szczęśliwej, wielonarodowej rodziny narodów ZSRR. I nagle okazało się, że wcale tak nie jest. Dlaczego doszło do wybuchu? Próbując odpowiedzieć na to pytanie ktoś użył porównania do rodziny. Otóż kiedy w domu wielu rzeczy brakuje, kiedy „budżet rodzinny" nie jest zrównoważony, kiedy nie jest uporządkowana „gospodarka domowa", słowem kiedy źle się dzieje w rodzinie, wówczas pojawiają się przesłanki do rozwodu.

Wiele konfliktów, które wystąpiły w Ałma Acie, jak np. w Nagorno-Karabachii, w Gruzji, Mołdawii czy w republikach nadbałtyckich można wytłumaczyć niedostatkiem, brakami towarów, w ogóle złą gospodarką. Jednak są i inne przyczyny wybuchu niezadowolenia, mianowicie nierówne traktowanie jednostek związkowych przez tzw. Centrum, czyli po prostu przez Moskwę. To, co zadecydowano w jakimś tam ministerstwie w Moskwie, było święte. Żadna siła nie mogła zmienić decyzji Centrum, nawet jeśli z punktu widzenia interesów republiki czy okręgu jej realizacja przyniosłaby tylko szkody.

O tych sprawach mówi się teraz jawnie i głośno. Większość republik chce przejść na własny rozrachunek gospodarczy. Ma to najpierw nastąpić w „pribałtykie" – jak nazywają Rosjanie trzy republiki nadbałtyckie – a także na Białorusi. Tak więc, o ile w sferze gospodarczej w przysłowiowym tunelu pojawiło się światełko, to w sferze politycznej sytuacja jest znacznie bardziej złożona. Liczne ruchy społeczne, przeniknięte ideą narodową, a często też nacjonalistyczną, prezentują szeroki wachlarz rozwiązań – od zachowawczych po radykalne, włącznie z wystąpieniem z ZSRR. Te ostatnie tendencje najsilniej występują na Litwie. Sekretarz generalny ruchu odnowicielskiego „Sajudisu", Virgiljus Cepaitis wyraził niedawno pogląd, iż „dojdzie do powstania trzech nowych państw w regionie bałtyckim". Miał on na myśli oczywiście Litwę, Łotwę i Estonię. Cepaitis dodał, że „Sajudis" opowiada się za pełną suwerennością Litwy. Rozstrzygnięcie jednak w tej sprawie ma nastąpić na drodze referendum. Mało tego, zaznaczył on, że mówienie o ewentualnym wystąpieniu z ZSRR jest błędem, ponieważ nigdy dobrowolnie do tego Związku nie wstępowała. Została bowiem w 1940 r. w sposób sprzeczny z prawem międzynarodowym zaanektowana przez Związek Radziecki. Odnosi się to także do pozostałych dwóch republik nadbałtyckich. Aneksja tych państw nastąpiła jako wynik tajnego protokołu do paktu Ribbentrop-Mołotow z 1939 r. Ten sam los spotkał wschodnie tereny przedwojennej Polski, tyle że wcześniej, już po 17 września 1939 r.

Jak potoczą się dalej wydarzenia w Związku Radzieckim, naturalnie trudno przewidzieć. Sytuacja polityczna, a także gospodarcza w wielu rejonach jest bardzo trudna. A w Azerbejdżanie i Armenii wprost tragiczna. Od lutego do października br. w rezultacie zamieszek na tle narodowościowym zginęło 117 osób, a 3145 odniosło obrażenia. Spalono i zdemolowano ponad 2 tys. domów i mieszkań. 327 tys. Ormian i Azerów musiało uchodzić ze swoich miejsc zamieszkania. Te przerażające dane podali w TV wiceministrowie MSW – Wasilij Truszyn i Jurij Żurkin. Prawdę mówiąc na pograniczu tych republik, a szczególnie w Nagorno-Karabachii sytuacja jest na tyle skomplikowana, że bez interwencji z zewnątrz nie da się jej opanować.

O ile trudno prognozować dalszy ciąg wydarzeń w ZSRR, o tyle wiemy z całą pewnością, że pośrednio dotyczyć mogą i naszego kraju. Niepowodzenie głasnosti i pieriestojki zapoczątkowanej przez Michaiła Gorbaczowa nie wyszłoby na zdrowie i naszej reformie. Dlatego będziemy z uwagą i niepokojem śledzić przebudowę u naszego wschodniego sąsiada.

ST. BOROWIECKI

Czterej muszkieterowie

Bardzo rzadko się zdarza, by występowali w naszym kraju „wielcy" światowego sportu. Poziom naszych zawodniczek i zawodników obniżył się prawie we wszystkich dyscyplinach tak, że mistrzowie niezbyt chętnie przyjeżdżają nad Wisłę. Wyjątkiem jest tenis stołowy, który w ostatnich latach stał się prawdziwie polską konkurencją, a to głównie za sprawą Andrzeja Grubby i Leszka Kucharskiego. Właśnie ten pierwszy zorganizował niedawno w Częstochowie pokazowy miniturniej z udziałem najlepszych pingpongistów świata.

Szwedów **Jana Ove Waldnera** i **Joergena Perssona** nie trzeba chyba bliżej przedstawiać. Waldner, nazywany „cudownym dzieckiem" tenisa lub „profesorem", to aktualny mistrz świata w singlu i w zespole, trzykrotny złoty medalista mistrzostw starego kontynentu. Persson to zawodnik nr 2 na świecie. Jest aktualnym wicemistrzem globu, wielokrotnym medalistą mistrzostw Europy. Trzecim uczestnikiem turnieju był jeden z najbardziej utalentowanych graczy młodego pokolenia, Francuz **Jean-Phillipe Gatien**, a czwartym muszkieterem sam **Andrzej Grubba**, klasyfikowany na listach światowych z nr 3.

Jak to bywa we wszystkich „pokazówkach", tak i w Częstochowie zawodnicy nastawili się na widowiskową, pełną fajerwerków technicznych grę, mniej uwagi poświęcając zdobywaniu punktów. Chociaż szczególnie w polsko-szwedzkich pojedynkach nie zabrakło zaciętości i walki o każdą piłeczkę. Jan Ove Waldner zaprezentował, jak zwykle, całą masę finezyjnych uderzeń z forehandu oraz nietuzinkowe, podkręcane serwy. Jego kolega ze Skandynawii również pokazał wiele wspaniałych zagrywek, szczególnie w finałowym spotkaniu z Polakiem. Pan Andrzej bawił publiczność teatralnymi gestami i znakomitymi top-spinami z backhandu. W bogatym repertuarze jego zagrań nie zabrakło oczywiście słynnych lobów, bitych z odległości 4-5 metrów od stołu. Gatien, chociaż ustępował nieznacznie wyżej wymienionym, również potwierdził swoje duże możliwości. Imponował zwłaszcza potężnymi uderzeniami z forehandu oraz ogromną ruchliwością przy stole. Zawodnika obdarzonego tak wspaniałą pracą nóg dawno już nie było w europejskim tenisie.

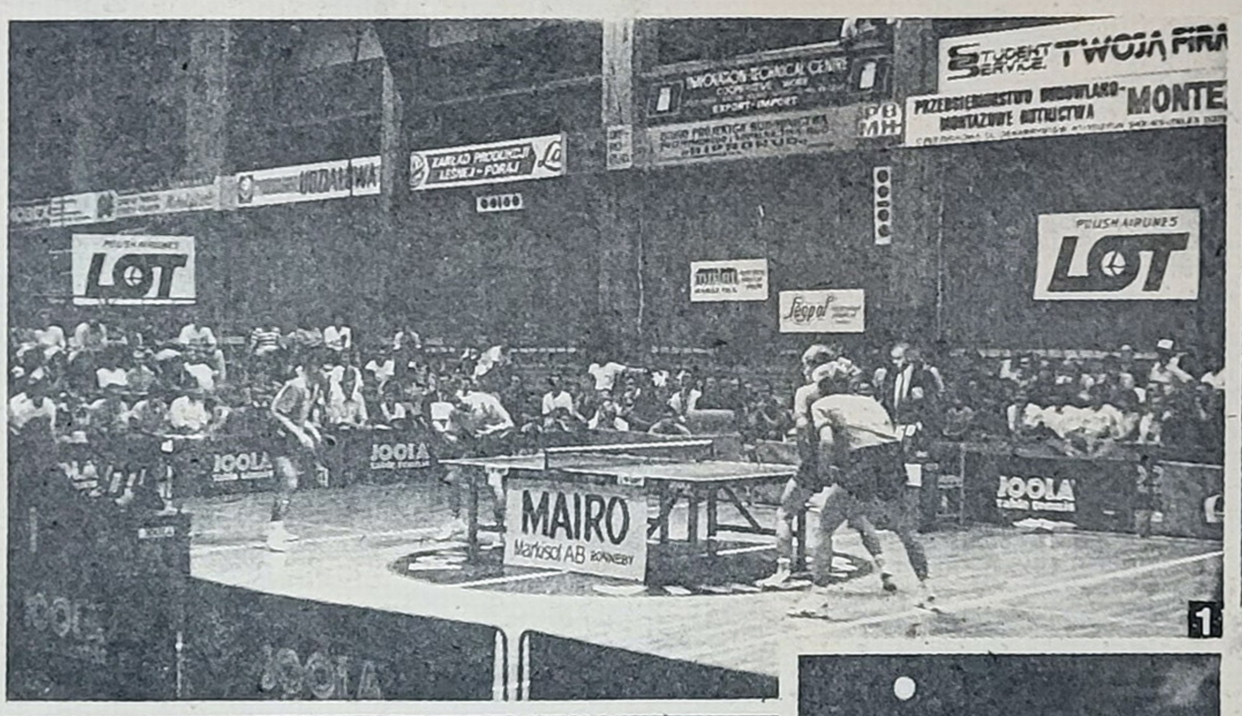

1

2

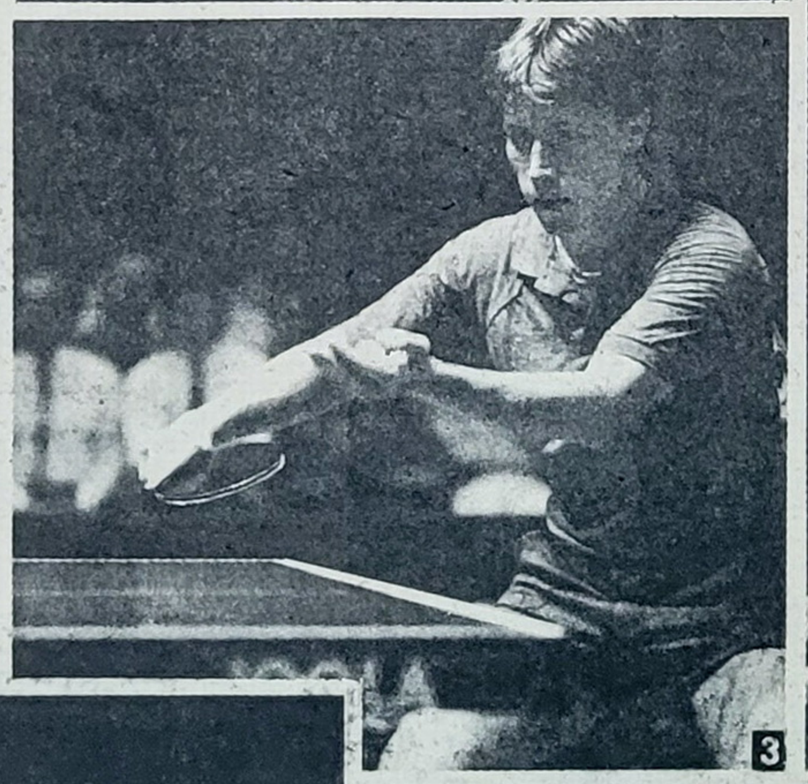
3

4

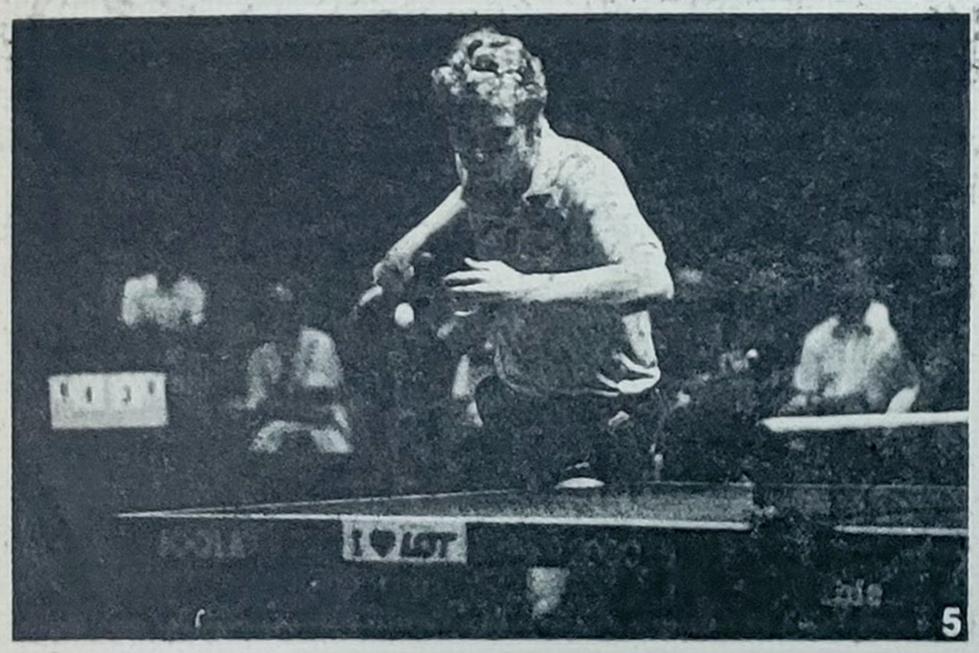
5

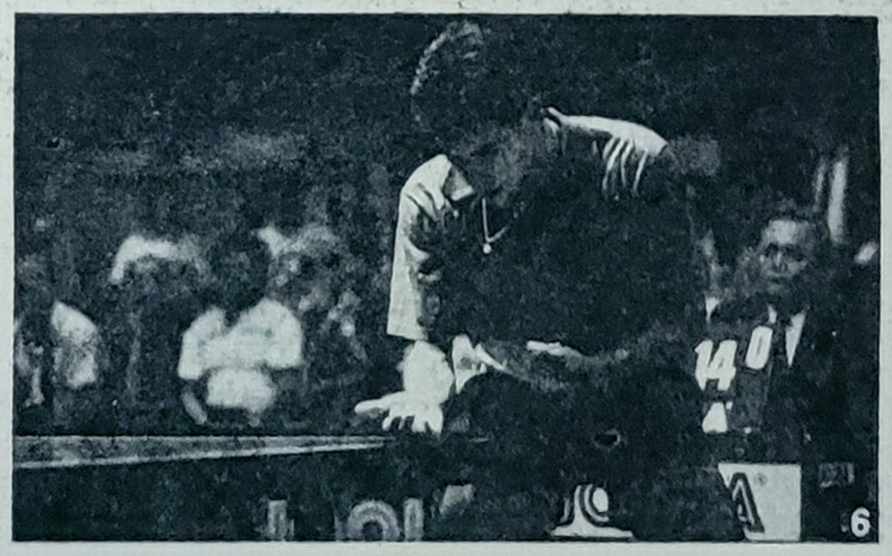
6

Chociaż wynik w turnieju nie był najważniejszy, to jednak warto przypomnieć, jak przebiegała rywalizacja pingpongowych tuzów. W pierwszych meczach Persson nie bez trudu pokonał Gatiena, a Grubba – Waldnera. W finale, po zaciętej grze, Szwed zwyciężył (21:15 i 21:18) Polaka. W rewanżu para polsko-francuska dość łatwo pokonała debel skandynawski, co wzbudziło na widowni ogromny aplauz. Duże brawa dostał również pan Andrzej i organizatorzy imprezy – klub AZS Częstochowa – którzy część wpływów z zawodów przeznaczyli na fundację Gloria Victis oraz nowo powstałą Fundację Rozwoju Tenisa Stołowego w Polsce. Brawo! Również Joergen Persson przekazał nagrodę pieniężną za 1 miejsce na konto Gloria Victis. Mamy nadzieję, że nie jest to pierwsza tego typu impreza i wspaniałych zawodników zobaczymy w Polsce jeszcze niejeden raz.

Gwiazdy światowego tenisa fotografował w Częstochowie **Witold Scholtz. (ab)**

Na zdjęciach:
1. W grze deblowej para polsko-francuska (z lewej) zdecydowanie pokonała faworyzowany duet szwedzki
2. Uczestnicy częstochowskiego turnieju są i poza sportową halą serdecznymi przyjaciółmi. Od lewej: Persson, Gatien, Waldner i Grubba
3. Jan Ove Waldner
4. Andrzej Grubba
5. Joergen Persson
6. Jean-Phillippe Gatien

Czytelników „Świata Młodych", którzy dzięki relacjom naszych reporterów poznali już Disneyland, czy Legoland zapraszamy dzisiaj do Phantasialandu w Republice Federalnej Niemiec. Ta Kraina Fantazji rozciąga się na obszarze 280 tys. m² pomiędzy Kolonią i Bonn. Jej twórcy – Gottlieb Löffelhardt i Richard Schmidt usytuowali swój gigantyczny lunapark w naturalnym krajobrazie, w którym, jak grzyby po deszczu, powstawały rozliczne miejsca uciech i zabaw.

Bliższa znajomość Schmidta – byłego aktora berlińskiego Palace Theatre z bussinesmanem Löffelhardtem zaowocowała wieloma oryginalnymi rozwiązaniami w urządzeniu Phantasialandu.

Zwiedzanie Phantasialandu rozpoczyna się od poznawania nie istniejącego już w rzeczywistym świecie Starego Berlina z jego zabytkami. Skonstruowany w skali 1:2 jest wierną kopią fragmentu dawnej europejskiej metropolii, w której nawet latarnie gazowe przydają autentyczności słynnej Unter den Linden.

Specjalnością Phantasialandu są elektronicznie sterowane naturalnej wielkości lalki ludzi i zwierząt. Spotyka się je dosłownie wszędzie. A jeśli której brakuje na swoim miejscu, to znaczy, że... przyjęła rolę w filmie. Wypożyczają je chętnie liczne wytwórnie filmów telewizyjnych.

Ze Starym Berlinem sąsiaduje kraina Wikingów. Jej twórcy zadbali o dokładne odtworzenie X-wiecznej łodzi walecznych wojowników Północy. Ich dzioby ozdobione głowami smoków śmiało przecinają wody jeziora, z których raz po raz wynurzają się napędzające strachu morskie potwory. Podobnym emocjom poddawani są ci, którzy decydują się na rejs korsarską karawelą. Płynący wraz z Wikingami przeżywają dodatkowe wzruszenia napotykając m.in. ruiny legendarnej Atlantydy.

Jedną z największych atrakcji Phantasialandu jest Condor – ogromna karuzela o wysokości 26 metrów. Wirując na tym pułapie w małych samolocikach, poruszających się ze zmienną szybkością, można ogarnąć wzrokiem cały obszar rozległego lunaparku.

Zwiedzający mają m.in. do dyspozycji jednotorową, całkowicie klimatyzowaną kolejkę przenoszącą ich na... Hawaje. Z wysokości 10 metrów nad ziemią podziwiają prerie Dzikiego Zachodu i cuda Orientu. Po zatrzymaniu się na stacyjce Café Orient i nasyceniu oczu perłami marokańskiej architektury mają okazję uczynić zadość pokusom podniebienia degustując przysmaki egzotycznej kuchni. Stamtąd dopiero udają się na Hawaje, gdzie podziwiają oryginalne polinezyjskie tańce.

W Phantasialandzie wszystko jest możliwe, nawet spotkanie oko w oko z prehistorycznymi gadami, które w okresie mezozoiku tyranizowały cały świat. Dzięki technicznej pomocy prof. W. Kreuera skonstruowano specjalne pomieszczenia, w których napędzane elektronicznie 30-metrowe dinozaury skutecznie straszą amatorów silnych wrażeń.

Jedną z osobliwości Phantasialandu jest kopalnia srebra. Przejeżdżająca tamtędy sterowana elektronicznie górska kolejka zatrzymuje się na stacji o złowróżbnej dla widzów westernów nazwie Tuckson. W saloonie siedzą i grają w karty Meksykanie. Od czasu do czasu któryś z nich podchodzi do baru i zamawia drinka. Na ulicy – Main Street odbywają się tymczasem pojedynki rewolwerowców i napady na banki. W tym widowisku, wywołującym dreszczyki emocji, bierze udział sto dwadzieścia postaci

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

Nasi korespondenci z Tykocina donoszą:

Hej! Witamy Was kolorami lata, chociaż wokół już mokre badyle i coraz bardziej suche liście, zdjęcia z wakacji nie wszystkim wyszły, a w szkole – szkoda słów...

Kilka zdjęć, garść wrażeń, trochę obserwacji – oto nasz letni kapitał, który odpędzi jesienny nastrój. Zieleń nie umarła – na drzewach są już nowe pączki liści, a nowe wakacje na pewno powitamy już nad czystą rzeką!

MARIA MARKIEWICZ

Warto było to zobaczyć...

15 lipca w naszej „stałej" siedzibie (Towarzystwie Przyjaciół Ziemi Tykocińskiej) specjalnie dla młodych widzów odbył się pokaz dwu filmów wideo, które udostępnił nam pan Janusz Korbel działający w ruchu na rzecz ochrony środowiska, zwanym głęboką ekologią (Pracownia na Rzecz Wszystkich Istot). Film „Earth First!", który obejrzeliśmy, przedstawia działania w obronie tropikalnych lasów Australii, a wielokrotnie nagrodzony film „Blowpipes and bulldozers" opowiada o zagładzie lasów na Borneo i żyjącym wśród tubylców naukowcu. Na tych widzach, którzy wytrzymali 2 godziny projekcji, największe wrażenie wywarł moment, gdy łańcuch ludzi zagradzał drogę spychaczom.

Nie chcąc dopuścić do zagłady puszczy ludzie zakopywali się w ziemi, aby buldożery nie wjechały do lasu! Warto było obejrzeć te filmy, żeby na własne oczy zobaczyć, co z przyrodą dzieje się na świecie...

„Bodaj zdrowi plonowali,
Za tak roczek doczekali,
Plon mamy, plon"

To stara przyśpiewka z okolic Tykocina śpiewana podczas robienia „przepiórki". Chociaż nie wszyscy pomagali w żniwach, obrzęd ubierania „przepiórki" odbył się jak za dawnych czasów.

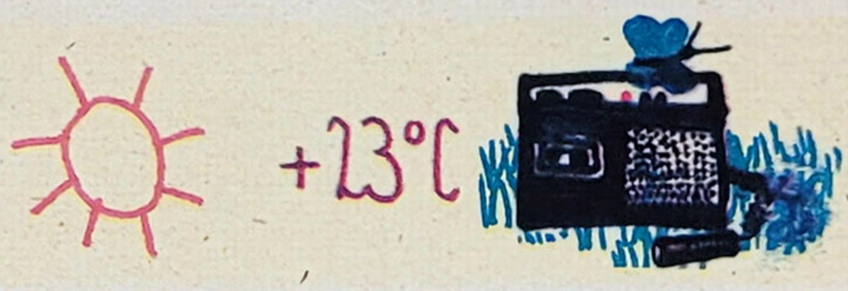

Kronika lata...

11 lipca

Z Tykocina wyruszyliśmy rowerami o 7.00 rano. Po drodze, biegnącej przez łąki między starymi wierzbami, spacerowały bociany. Panował zupełny spokój. W lesie nagrywaliśmy głosy ptaków. Zainscenizowaliśmy krótką scenkę z mrówkami niosącymi do mrowiska jakiś ciężar. W tym czasie nasz kolega Piotrek, który przyjechał do Tykocina na wakacje i spóźnił się na wyprawę, szukał nas po okolicznych lasach...

Ela Aracewicz

10 lipca

Byłam „na grzybach" w Białym z tatą. Nazbieraliśmy 10 prawdziwków, ale niektóre były robaczywe, 7 czerwonych łebków, parę „jakubków" oraz gąski. Pierwszy raz na grzyby chodziliśmy w czerwcu.

Monika Sadowska

21 lipca

Od dłuższego czasu padają deszcze, dlatego ciągle siedzimy w lokalu TPZT, gdzie rysujemy hasła przyrodnicze, odpisujemy na listy... przygotowujemy ten materiał do „Świata Młodych".

22 lipca

Dziś pogoda zmieniła się. Wyjrzało słońce. Rolnicy teraz czekają, aż zboże obeschnie i wtedy na dobre rozpoczną się żniwa.

Zaczynają kwitnąć floksy i złote kule, a kwitną „panny w zieleni" (czarnuszka) oraz perzyk. Ogródki tykocińskie toną w kwiatach. Rośnie w nich także mietlica, z której gospodynie robią miotły. W tym roku wcześniej dojrzała jarzębina.

Ela Aracewicz

24 lipca

Już od dwóch dni jest ładna pogoda. W małym stawku pojawiły się w dużej ilości rozwielitki.

W sadach zbiera się już pierwsze owoce, a na polach w pełni trwają żniwa.

W pegeerach zboże się wyłożyło. Pracownicy będą musieli całe hektary kosić kosą. W tym roku będzie mało maszyn do wypożyczenia. Rolnicy będą zdani tylko na siebie.

Przed chwilą pod naszym oknem przejechał pierwszy „Bizon".

Piotrek Chmieliński
Warszawa

10 sierpnia

W tym roku żniwa rozpoczęliśmy wcześniej niż w ubiegłym. Najpierw skosiliśmy żyto, a potem jęczmień. Tato kosił kosą, mama zbierała, ja robiłam paski, a stryj Jan wiązał snopki. Kosiliśmy dwa dni, bo pierwszego dnia wygonił nas z pola deszcz. Gdy dziesiątki zostały zestawione, zostało jeszcze trochę żyta na „przepiórkę". Ubrałam ją polnymi kwiatami. U nas co roku, od lat, robi się przepiórkę, chociaż w Tykocinie zwyczaj ten już powoli zanika.

Następnie snopowiązałką skosiliśmy owies, mieszankę (owies z jęczmieniem) i pszenicę. I tak żniwa zostały zakończone na początku sierpnia.

Iwona Abramowicz

Podczas wakcji spędziłam parę dni we wsi Boćki za Białymstokiem. Zboże było już pokoszone, na polu stały dziesiątki. Na polu babci stała „przepiórka". Była ubrana kwiatami, w środku leżał chleb i kawałek kiełbasy, była także sól.

Anka Palak

15 sierpnia

Jestem na wakacjach u babci i dziadka. W dniu przyjazdu od razu pojechałem furmanką na pole, gdzie pomagałem dziadkowi poić i przepalowywać krowy. Podczas żniw także pomagałem. Jeździłem traktorem, który podjeżdżał pod kombajn, ażeby mógł on wysypać ziarno. Nauczyłem się nawet trochę prowadzić ciągnik. Wakacje były wspaniałe!

Piotrek z Warszawy

15 sierpnia (święcenie równianek)

Tego dnia rano chcieliśmy wybrać się na grzyby. Jednak babcia ostrzegła nas, że w tym dniu żmije i *„wszelkie gadziny wyłażą i potem włażą do ziemi, a zostają te najbardziej jadowite"*. Babcia dowiedziała się o tym od swojej mamy. No i z grzybobrania zrezygnowaliśmy...

Monika Sadowska

Alarm dla Narwi

„Nowa Narew" jest w tej chwili bardzo zanieczyszczona. W upalne dni nie można się nigdzie kąpać. Jedyne miejsce, gdzie można było jeszcze do niedawna popływać, znajdowało się na jednej z odnóg Narwi, odciętej podczas melioracji od głównego koryta. Gdy byliśmy tam ostatnio, woda była już bardzo brudna. Widzieliśmy nieżywe raki, które dotychczas zamieszkiwały te wody.

Monika Sadowska

Wieczór nad nikomu niepotrzebną rzeką

Wczoraj wieczorem, tj. 22 sierpnia o zachodzie słońca zebraliśmy się nad Narwią, która przepływa przez nasze miasto. Staliśmy w kręgu zrobionym z muszli, imitującym dawny brzeg rzeki. Teraz rzeka jest jednym wielkim śmietnikiem. Parę dni temu zamknięto nasze ostatnie kąpielisko (najbliższe jest o 6 km stąd). A przecież Narwi zawdzięczamy powstanie Tykocina! By uczcić pamięć tej, w latach świetności pełnej życia, rzeki czytaliśmy wiersze z nią związane, a potem każdy z nas zabrał na pamiątkę jakiś przedmiot przypominający dawne życie, które tu tętniło. Między innymi były tam muszle małży i ślimaków, gniazdo trzciniaka, trzciny... Z zapalonymi świeczkami przeszliśmy brzegiem spory kawałek, wspominając tę niegdyś piękną rzekę. Na zakończenie puściliśmy wianek z zapalonymi świeczkami wypowiadając życzenie: *„Aby Narew była czysta"*. Wianek na wodzie wyglądał jak gromada świetlików. Przy akompaniamencie gitary śpiewaliśmy potem piosenki, w ten wieczór poświęcony nikomu niepotrzebnej rzece...

Marta Michałowska
Zambrów

Z zapalonymi świeczkami przeszliśmy brzegiem...

PHANTASIALAND

Z wakacyjnego dziennika Magdy Kalenik

„Wystarczy wsłuchać się w szum wiatru..."

10 lipca (poniedziałek)

był ciepłym i słonecznym dniem. Wybrałam się na poszukiwanie grzybów i poziomek. Ale że nic nie znalazłam, poszłam na łąkę; niebieską smugą przecinała ją rzeczka. Kiedy zbliżyłam się do wody, usłyszałam żałosny płacz żółtobrunatnego pisklęcia dzikiej kaczki. Mała odłączyła się od „mamy" i zgubiła. Wzięłam ją więc do domu, ponieważ w pobliżu nie było widać jej rodziny.

Kaczuszka czuje się bardzo dobrze, powoli przystosowała się do nowych warunków. Bardzo lubi pływać i nurkować, więc codziennie urządzam jej kąpiel w wannie. Je kaszę i siekane jajko...

15 lipca

„Wobec przyrody winniśmy być pełni pokory i taktu, inaczej zginiemy razem z nią" – to słowa Władysława Szafera. Ja myślę, że wystarczy wsłuchać się na skraju lasu w śpiew ptaków, w szum wiatru, aby samemu stać się cząstką przyrody. Ale lasów jest coraz mniej...

Wychodzę na małą łączkę wśród drzew. Raptem poruszają się gałęzie po przeciwległej stronie. Przezornie zaszywam się w krzaki. Spomiędzy gałązek wychyla się najpierw popielatobrunatna głowa, a za nią reszta ciała młodego jelonka! Rozgląda się na boki i przystępuje spokojnie do „degustacji" trawy, tuż obok jego nóg. Raptem nieruchomieje. Chwilę tak trwa bez ruchu. Potem powoli odwraca głowę i... patrzy mi prosto w oczy! Trwa to zaledwie kilka sekund. Następnie wolno i bez lęku odchodzi w gęstwinę.

Piotrka z Warszawy najbardziej interesowały maszyny rolnicze. Kiedy ktoś po raz pierwszy jedzie kombajnem, czuje się tak, jak gdyby znalazł się nagle na mostku kapitańskim...

24 lipca

Dziś znów – po raz drugi w czasie tych wakacji – widziałam żmiję. Brrr! Spała sobie spokojnie na pniu. Tak ładnie to wyglądało, że zaraz po powrocie do domu musiałam ją namalować.

25 lipca

Tego dnia byłam znów nad rzeką. Siedziałam tam prawie dwie godziny, bo bardzo chciałam zobaczyć rybołowa. Wiele razy specjalnie tu chodziłam i wreszcie tym razem udało się. I to w jakim momencie! Akurat upolował jakąś rybę. To był świetny widok!

Rys. **Magda Kalenik**
Fot. **M. Markiewicz**

TOM CRUISE – następca największych?

Thomas Cruise Mapother IV urodził się 3 lipca 1962 r. w Syracuse w stanie New York, w USA. Jest jedynym synem spośród czworga dzieci inżyniera-elektronika. Dzieciństwo spędził na rozlicznych podróżach po całych Stanach Zjednoczonych. Do 12 roku życia (wtedy jego rodzice rozstali się) zmienił 15 szkół. Nic dziwnego, jego ojciec zatrudniany był wciąż gdzie indziej i przeprowadzał się wraz z całą rodziną. Brak stabilizacji oczywiście dzieciom nie służył. Tom miał spore kłopoty z nauką, zwłaszcza że był dyslektykiem – co oznacza ogromne kłopoty z czytaniem. Częste przeprowadzki utrudniały przeprowadzenie systematycznej terapii, która pomogłaby mu wyciągnąć się z kłopotów. Trudno mu więc było adaptować się wśród wciąż nowych kolegów i nauczycieli.

Po rozwodzie rodziców pozostał z matką. Zamieszkali z ojczymem w New Jersey. Żyli jednak w warunkach bardzo skromnych. – *Musiałem wciąż donaszać używane ciuchy po moim starszym kuzynie* – wspomina dziś Tom z goryczą. Ale właśnie w New Jersey już na początku średniej szkoły zetknął się po raz pierwszy z teatrem. Namówiono go do udziału w szkolnym przedstawieniu sztuki „Guys and Dolls". Na scenie poczuł się wreszcie doceniony i mocno postanowił, że w przyszłości zostanie właśnie aktorem.

Gdy tylko skończył 18 lat zaczął wprowadzać swój plan w życie. Opuścił więc rodzinny dom – wyjechał do Nowego Jorku, by tam wstąpić na kurs aktorski w słynnym nowojorskim studio. Mógł liczyć tylko na siebie – nie otrzymywał z domu żadnej pomocy materialnej. Jego życie nie wyglądało więc wesoło. Podejmował się każdej pracy. Strzygł trawniki, roznosił gazety, pracował jako konduktor autobusowy i goniec. Wieczorami zaś gorliwie studiował.

Pierwszą małą rolę otrzymał dopiero po dwóch latach takiej wegetacji. Od Franco Zefirellego w filmie z Brookie Shields „Miłość bez końca" (Endless Love), potem jeszcze „wychodził" sobie rolę w „The Taps".

Szczęście uśmiechnęło się do niego, gdy słynny reżyser Francis Ford Coppola postanowił nakręcić film o walce dwóch młodzieżowych gangów w arizońskiej Tulsie pod tytułem „The Outsiders". W roli „outsiderów" widział on młodych, nieznanych aktorów. Jego wybór padł na Roba Love'a, Patricka Swayze, Matta Dillona, Ralpha Macchio, Thomasa Howella oraz właśnie Toma Cruise'a. Dziś wszyscy są sławni! Tom Cruise – najbardziej.

Od 1983 r. pracował bardzo intensywnie. Wprawdzie kolejne filmy z nim („Risky business", „All the Right Moves", „Losin it" i „Legend") nie odniosły specjalnego sukcesu, ale nie groziło mu już przecież bezrobocie...

Film „Top gun" z 1985 r., w którym Tom zagrał główną rolę – lotniczego asa, stał się natomiast przebojem ekranów. Przyniósł 140 mln dolarów zysku. Tom zaś stał się po nim prawdziwą gwiazdą – aktorem, w którym kochają się dziewczęta i naśladują chłopcy.

W rok później Tom Cruise wystąpił u boku swego profesora ze studiów – Paula Newmana w „Kolorze pieniędzy" – filmie wysoko ocenionym przez krytyków. Słynny aktor chwalił go bardzo. – *Jestem z niego dumny. On jest genialny. Naprawdę, wie czego chce!* – Taka ocena 24-letniego aktora z ust doświadczonego, słynnego kolegi, znaczy bardzo wiele.

Stał się sławny i naprawdę bogaty. W maju 1987 r. ożenił się ze starszą od siebie o 7 lat koleżanką po fachu – Mimi Rogers. Zgadzają się ponoć we wszystkim. Mimi nie podziela tylko jego hobby, zresztą bardzo niebezpiecznego: Tom uwielbia brać udział w amatorskich wyścigach samochodowych.

Za sterów samolotu w kolejnym filmie Tom przeniósł się za barowy kontuar. Zagrał w „Coctailu". Trenował do tej roli w ekskluzywnym barze „TGI Fridays" w Los Angeles. W czasie tej „praktyki" liczba gości w lokalu ponoć szalenie wzrosła, a Tom stał się prawdziwym mistrzem mieszania trunków. Chwali sobie tę umiejętność, bo w ogóle lubi udzielać się w kuchni. Wraz z Mimi osobiście przyrządzają najczęściej włoskie potrawy na przyjęcia dla swoich przyjaciół.

W tym roku miał miejsce największy sukces Toma. Wydarzeniem stała się premiera „Deszczowego człowieka" (Rainman), w którym partnerował Dustinowi Hoffmanowi. Wprawdzie to Hoffman otrzymał za swą rolę Oscara, ale Tom także wykazał się w tym filmie prawdziwym kunsztem.

Przystojny, wysportowany Tom w ostatnim swym filmie „Born on the Fourth of July" znów się przeistacza. W tym obrazie, który ponoć jest jeszcze jedną próbą rozliczenia się z koszmarną wojną w Wietnamie – gra w inwalidzkim wózku. Gra człowieka, którego niezawinione kalectwo w młodym wieku spycha na margines życia.

A co dalej? Praca i jeszcze raz praca. Wraz z Mimi przygotowują się obecnie do nakręcenia komedii...

Tom Cruise ma talent, który pozwala mu perfekcyjnie wywiązywać się z ciągle innych zadań w stylu prawdziwie wielkich gwiazd.

EWA BIELSKA

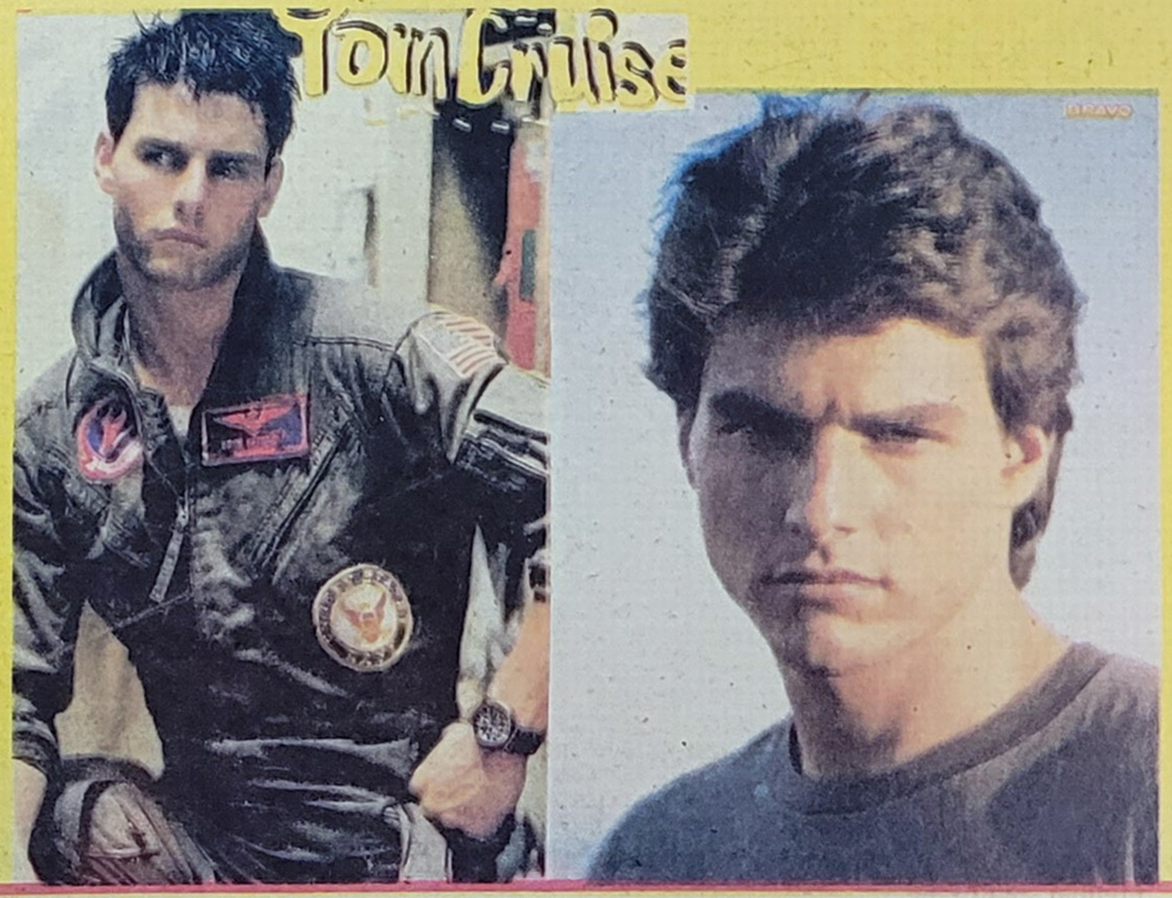

„Chwila rozpoczęcia badań klinicznych preparatu torfopochodnego już bliska”

– MÓWI PROF. STANISŁAW TOŁPA

(PAP). W ponad 20 specjalistycznych zespołach badawczych na terenie całego kraju prowadzone są obecnie końcowe badania laboratoryjne nad preparatem torfopochodnym prof. Stanisława Tołpy. Są one niezbędne do wydania decyzji przez Komisję Leków w Warszawie o skierowaniu preparatu do badań klinicznych, co nastąpić ma jeszcze w br. – W obecnej, końcowej fazie badań – stwierdza prof. Stanisław Tołpa z Akademii Rolniczej we Wrocławiu w rozmowie z dziennikarzem PAP red. Andrzejem Szymurą – dużą uwagę przywiązuje się do udoskonalenia metod technologicznych przy przejściu z badań i wytwarzania preparatu torfopochodnego laboratoryjnie do produkcji w skali przemysłowej. Trzeba tu jeszcze dobitnie podkreślić, że moje z prof. Andrzejem Danyszem badania nad moim preparatem torfopochodnym są prowadzone na zlecenie Ministerstwa Edukacji Narodowej i przebiegają ściśle według norm prawnych obowiązujących w Polsce.

Badania dotychczasowe – mówi dalej prof. St. Tołpa – które koordynuję wspólnie z dyrektorem Instytutu Leków w Warszawie, prof. A. Danyszem, wykazują, że preparat torfopochodny ma aktywność biologiczną wobec układu odpornościowego organizmu. Ważne jest to, że wpływa on pobudzająco na układ limfocytarny. Nie wykazuje ubocznych działań alergizujących, działa stabilizująco na błony komórkowe – jednm słowem preparat usprawnia i naprawia system odpornościowy organizmu.

Nauka ma odpowiedzieć na pytanie, na jakie schorzenia preparat torfopochodny działa skutecznie i jakie są mechanizmy tego działania – stwierdza prof. St. Tołpa. – Robimy we Wrocławiu w Zakładzie Biologii i Biochemii Torfu Akademii Rolniczej oraz w Instytucie Leków w Warszawie, a także we wszystkich innych pracowniach badawczych współpracujących z nami, wszystko co możemy, aby przybliżyć chwilę, gdy preparat torfopochodny stanie się lekiem i będzie dostępny dla potrzebujących w aptece i w szpitalach. Muszę tu raz jeszcze uspokoić tysiące oczekujących ludzi, że chwila ta jest coraz bliższa. Po dopuszczeniu preparatu do badań klinicznych, co nastąpić ma jeszcze w br. – odbędą się już znacznie krótsze (od pół do jednego roku) badania kliniczne. Muszę tu również dodać, że preparaty pochodzenia roślinnego o wiele trudniej jest badać niż jednorodne leki syntetyczne. Leki pochodzenia roślinnego zawierają bowiem liczne związki biologiczne aktywnie działające w różnych kierunkach. W czasie badań klinicznych preparatu torfopochodnego weźmie się z pewnością pod uwagę zebrane przez nas liczne wnioski od ludzi, którzy na własną odpowiedzialność od lat zażywają preparat. Jego pozytywne działanie jest tu w wielu wypadkach w całości potwierdzone.

Tych pacjentów jest ok. 2,5 tys. Prowadzi się dokładną ewidencję tych osób, karty ich chorób itp. Trwają prace nad statystycznym opracowaniem rezultatów dotychczasowego stosowania preparatu przez tych ludzi. Jak mi wiadomo, już teraz, przed zakończeniem badań i wprowadzeniem preparatu do użytku jako leku, chciałoby go na własną odpowiedzialność brać przynajmniej 25 tys. osób.

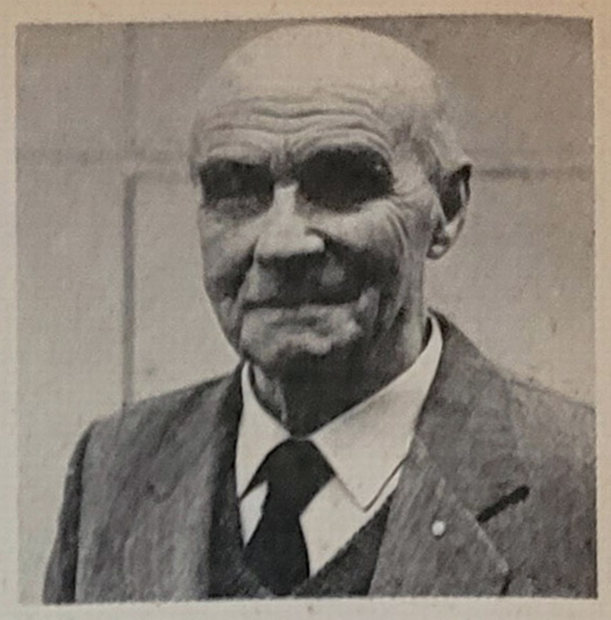

Muszę tu podkreślić wielkie społeczne zrozumienie i zaangażowanie dla tej sprawy zarówno zwykłych ludzi, jak i wielu instytucji. Ostatnio, np. na dalsze prace badawcze zaczęło nam w związku z inflacją brakować funduszy. Gdy w biuletynie PAP pokazała się wiadomość „**Kto da 100 mln zł na dodatkowe badania nad preparatem prof. Tołpy**”, za kilka dni wręczono mi – mówi prof. Tołpa – czek od PZU na 100 mln zł, i czek od PKO również na 100 mln zł. Byłem tym niezwykle wzruszony i uradowany...

Fot. **CAF**

• OGRÓD NA STOLE •

Gołąbki po grecku

Ze średniej wielkości główki kapusty oddzielić zdrowe, nieuszkodzone liście, zalać wrzątkiem i potrzymać na małym ogniu ok. 10 min. Miękkie liście wyłożyć do osuszenia na czystej ścierce. Szklankę ryżu umyć pod bieżącą wodą na sicie, wyłożyć na patelnię z podsmażoną na szklisto, drobno posiekaną cebulą i ząbkiem czosnku. Ryż na patelni ciągle mieszać, aż wchłonie tłuszcz i stanie się przezroczysty. Dołożyć 2 drobno pokrajane pomidory, obrane ze skórki i pozbawione soku oraz pestek, oraz 2 łyżki umytych i wymoczonych rodzynków. Wymieszać farsz i rozłożyć go na przygotowane liście kapusty. Uformować ściśle owinięte, kształtne gołąbki. Włożyć je do natłuszczonego masłem garnka i zalać bulionem, tak aby je pokrył. Gotować na małym płomieniu przez 3 kwadranse.

Sałatka z brukselki

1/2 kg brukselki przebrać, usunąć zwiędnięte i uszkodzone listki, umyć i ugotować do miękkości w osolonym wrzątku. Przelać zimną wodą na sicie i odcedzić. Polać sosem ukręconym z 2-3 łyżek oleju lub oliwy i 2 łyżeczek soku cytrynowego, doprawić solą i pieprzem. Podawać do zimnych mięs.

ANNA CZERNI
K-81

PHANTASIALAND

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4–5

ludzi i zwierząt sterowanych elektronicznie. To właśnie w tym miejscu jeden z bardziej krewkich szeryfów za karę zakuł w dyby córkę naszego fotoreportera, co ten przytomnie uwiecznił na zdjęciu.

Niepowtarzalne wrażenia pozostawia również spływ górskim wodospadem w wydrążonym klocu. Płynąc wodnym torem długości 1,3 kilometra przez wzgórza i doliny, wśród łąk i lasów porośniętych egzotyczną roślinnością spada się raptem z progu wodospadu i leci w dół z prędkością zapierającą dech w piersiach.

Zmoczeni, lecz szczęśliwi amatorzy mocnych wrażeń przesiadają się do górskiej kolejki, która na wysokości 26 metrów unosi ich przez różne wiadukty umożliwiając nie tylko podziwianie Wielkiego Kanionu, ale i wyłaniające się z oddali Siedem Wzgórz oraz zabytkową katedrę w Kolonii, górującą nad miastem.

Po tym wszystkim warto odetchnąć w meksykańskiej hacjendzie czy w „magnetycznym domu”, w którym ku powszechnemu zdumieniu postawiona na środku pokoju miotła ani drgnie, zaś człowiek pochylony pod kątem 45° także pozostaje w tej pozycji, jak gdyby nie działało na niego prawo grawitacji.

Najwspanialszym przeżyciem jest jednak Delfin-Show. To, czego dokonują trzy delfiny, przekracza wszelkie wyobrażenia o ich zdolnościach. W programie występu znajdują się m.in.: skoki przez linę rozpiętą na wysokości jednego metra nad wodą, popisy „wokalne”, gra w piłkę, żonglerka plastikowymi obręczami. Najwięcej problemów ze swoimi podopiecznymi mają jednak nie trenerzy, a dentyści, którzy muszą troszczyć się o 260 zębów każdego z sympatycznych ssaków.

Wędrówka po Phantasialandzie kończy się na ogół w Chinatown – Chińskim Mieście (24 tys. m²), gdzie zobaczyć można czternastowieczne i nieco młodsze pagody – świątynie buddyjskie, skonstruowane na specjalne zamówienie w Chinach. Złożenie ich z 1 miliona 300 tysięcy ceramicznych elementów kosztowało około 20 milionów marek zachodnioniemieckich.

W Chinatown można nie tylko zjeść wyśmienite chińskie potrawy, ale i podziwiać mimiczne popisy aktorów Teatru Tanagra, a także doznać kolejnej porcji lęku w podziemiach, w których straszą ziejące ogniem smoki, duchy i wielogłowe potwory.

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW
Fot. **Janusz Plewniak**

20

MARIA BOROWA

OGRODY

Nie mogły, naprawdę. Pocałowały ją niezręcznie i głośno, pełne uczuć, do których żadna nie potrafiłaby się przyznać przed sobą.

Za drzwiami, jeszcze na korytarzu, zaczęły się kłócić, obwiniając jedna drugą o brak serca i taktu, o to, że było inaczej, nie tak, jak myślały, że będzie.

Usiadły wreszcie na ławce, milczące i złe, i patrzyły tępo przed siebie. Mariola próbowała gwizdać.

– Wymyśl coś! – rzuciła gniewnie. – Jesteś przecież ta inteligentna.

– Zastanawiam się, czy to prawda – wycedziła Karolina. – Wykręty! Co my właściwie mamy robić? Nie umiałam w ogóle z nią rozmawiać. A ty jak głupia patrzyłaś cały czas na ten przeklęty koc na jej nogach. Nie mogłaś zachowywać się normalnie?

– A ty? – warknęła Mariola. – Normalna to ja mogę być z normalnymi. Co powiedziałam – wszystko było nie tak. Każde słowo trzeba, psia krew, analizować. Apteka! O szkole nie wypada mówić, o kieckach nie, o chłopakach nie, o randce, kinie, tańcach nie! Same NIE! O czym mam z nią gadać, do diabła? O książkach? Nie znam się na tym. To twoja działka – prychnęła w stronę Karoliny. – Mogłaś się popisywać, nie siedzieć jak niemowa i przewracać oczami.

– Co my teraz zrobimy? – spytała bezradnie Karolina.

– Pojęcia nie mam. – Mariola, wściekła, odwróciła się do niej plecami. – Nie byłam z Moniką blisko. Ty... z tobą gadała o wszystkim. Nie idę tam więcej! – zdecydowała nagle. – Cześć, umów się z Kacprem, jak chcesz. Ode mnie uściski i pozdrowienia – podniosła się. – Zimno jak diabli, patrzą na nas jak na wariatki... Nie nadaję się na pielęgniarkę – dorzuciła już z daleka.

Karolina została na ławce z wyrazem zagubienia na twarzy.

Przychodziły na ósme piętro w soboty i niedziele. Z książką, ciastkiem, kwiatkiem, taaką wiadomością, sprawozdaniem z dnia... Razem i każda z osobna. Wpadały w ciągu tygodnia. Czasem z Kacprem. Jakby tamtej rozmowy na ławce nie było. Chciały, naprawdę chciały być dla Moniki dobre. Starały się, czuła to. I oddalały się od siebie coraz bardziej.

Nie wiedziała dlaczego. Z Karoliną rozmawiało się jej zawsze tak dobrze i łatwo o wszystkim. Karolina... Ze swoją wizją intelektualnej przyszłości i kariery – koniecznie. Mariola stawiała na towarzyską, na sukcesy dzięki mądremu, życiowemu ustawieniu się. Wszystko było teraz nie tak. Coś po prostu pękło; klejenie, wiązanie tego na siłę dawałoby wrażenie jeszcze większej sztuczności, rozumiały to wszystkie trzy. Przecież – myślała z goryczą Monika – TO nie mogło być powodem, tylko TO! Została sobą, może tylko dojrzalsza i poważniejsza, tak samo czuła, pragnęła. Nie... Też już nie tak jak przedtem – ostrzej, mocniej, głębiej. Ale i one nie stały w miejscu, dorastały nie tylko zewnętrznie. Więc co? Inny kierunek jazdy, inny świat? Nie wiedziała. Kacper... To się dawało wytłumaczyć: był chłopakiem i nie mogła mu się już nigdy podobać. Odpadało kino, tańce, umawianie się na spotkania i wspólne wieczorne wypady w soboty. Albo spacery... bez wózka. Nigdy żadnego obozu pod Kielcami i gdziekolwiek. Żadnej plaży, opalania się, skoków do wody z wysokiego wału nad odnogą Wisły. Nigdy wyścigów łódek i planowanego przegrywania, niby zabłądzenia w trzcinie. Tego wszystkiego nie będzie. A przyjaźń... Czy to coś, co było między nimi, można nazwać przyjaźnią?

Kacper starał się jednak. One też. Mimo dzielącej ich niewidzialnej bariery, jakiegoś niezręcznego skrępowania, sztuczności, która ich paraliżowała i onieśmielała. Coś zgubili – swobodę i spontaniczność łączącego ich poczucia równości, koleżeństwa. Zostało coś dławiącego, jak oddech przy ostrej anginie, o czym się chce zapomnieć i czeka, by minęło, pustka, gorsza od samotności, chociaż się spotykali i byli jeszcze razem.

– Przyjdę, przyjdziemy za tydzień – mówili. – Jutro. Wpadnę niedługo, cześć. Trzymaj się.

Może razem przyjdą, myślała, we trójkę; nie chcę, żeby Kacper sam, żeby Karolina... Zawsze można mieć nadzieję, że ten drugi – trzeci ktoś zagada i nie pozwoli zapaść ciężkiemu, długiemu milczeniu.

– Będziemy się razem uczyły, chcesz? Może francuski... – mówi Karolina i nie patrzy na Monikę. Poprawia jej poduszkę i wygładza koc.

– Dziękuję ci, niech zostanie, jak jest, przywykłam, Zosia Samosia, wiesz, zresztą masz na pewno co innego do roboty.

Nie sprawdzają tego „na pewno”. Wszystko, tylko nie francuski z Karoliną! Tamten głos nie może się powtórzyć, innym zastąpić go nie chce. Wystarczą jej lekcje z panią Uziębło, Nata i płyty. I pamięć...

Nata zmywa w kuchni, dobiega stamtąd szczęk naczyń i głębokie poza tym milczenie. Kiedy Nata śpiewała ostatni raz? W tym domu długo, pewnie nigdy nie będzie nikt chciał śpiewać. O czym myśli teraz Nata? O sobie ze mną – taką? Tylko o sobie? Jak?

To koszmar – myśli Małgorzata – obłędne, totalne nieporozumienie. Zagubili się wszyscy czworo, Monika z jednej, oni z drugiej strony czasu. Jest jeden, choć wypełniony inną treścią, inną dla każdego z nich, nie tylko dla Moniki, ale wydaje im się, że to czas Moniki jest inny, swój mierzą jednakowo, chociaż jest również trójwymierny. Ustawili się i już nic nie zmieni ich stanowisk. Są za młodzi, zbyt niedoświadczeni, żeby wiedzieć. Ja też nie umiem... Inny człowiek to drugi świat, powiedział ktoś, ale nie dla nich normalnych, Monikę wysłali za granicę, z obcym, nieznanym językiem, gdzie nawet migi są niezrozumiałe. Ona je odczytuje jak pantomimę współczucie i obcości, sama nie akceptuje siebie dzisiejszej – nie przyjmuje siebie w nich. Im się wydaje, że oczekuje od nich pomocy, nawet czułości, dają tę pomoc w nadmiarze, to upokarza, na czułość zdobyć się nie mogą – choć chcą. Czułość ich krępuje, nie przeżyli nic, co by takie uczucie w nich wyzwoliło. Litość... tę okazują niepotrzebnie i niezręcznie, Monika niczego takiego nie chce. Czeka na normalność, którą obie strony skreśliły ze wspólnego protokołu porozumienia. Błędne koło. Sytuacja, do której nie dorastają. Wcale nie są źli i nieczuli, nie odepchnęli jej.

Cdn.

Królowa gier

POWRÓT DAMY

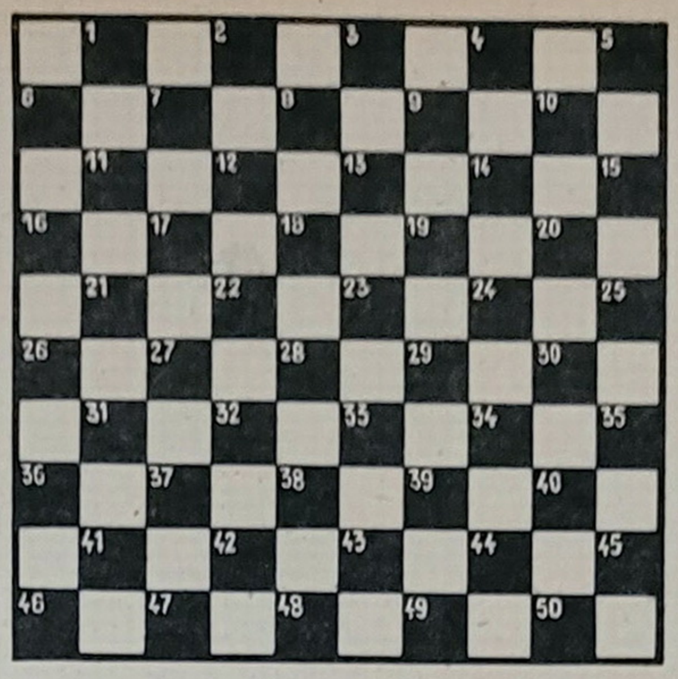

2

W końcu października 1977 roku w Domu Harcerza w Warszawie zebrała się grupa dziewcząt i chłopców. Każdy dzierżył szachownicę i kamienie do gry. – Co tu robicie? – zapytaliśmy. – Będziemy grali w warcaby. Jesteśmy finalistami I Turnieju Warcabowego „Świata Młodych" i Głównej Kwatery ZHP. Rozwiązywaliśmy zadanie warcabowe zamieszczane w gazecie i teraz będziemy grać między sobą o tytuł najlepszego juniora – odpowiedzieli. Wśród nich był 13-letni Marek Kuciński z Warszawy, który zwyciężył w tych pierwszych mistrzostwach kraju.

Na tym zwycięstwie nie zakończyła się kariera Marka Kucińskiego. Odnosił coraz większe sukcesy i uzyskiwał coraz wyższe klasy sportowe. W 1988 roku zdobył tytuł mistrza Polski w grze błyskawicznej, tytuł indywidualnego mistrza LZS i drużynowego Polski. Niedawno uzyskał pierwszą normę na mistrza FMJD (Światowej Federacji Warcabowej), a podczas pierwszych drużynowych mistrzostw świata, niedawno zakończonych w Weronie, zespół polski, w którym grał Marek zdobył brązowy medal. Osobistym sukcesem Marka było osiągnięcie remisu z byłym 4-krotnym mistrzem świata Anatolijem Gantwargie z ZSRR. Nasz aktualny champion, Leon Mikulicz, osiągnął również remis z mistrzem świata Aleksandrem Czizowem. Pozostali nasi zawodnicy także zaprezentowali się wspaniale i po zaciętych walkach zajęli III miejsce, po Związku Radzieckim i Mali. Jest to największy sukces w historii polskich warcabów.

Gra w warcaby (popularnie zwana damką) zaliczana jest do najstarszych gier tablicowych. Znana była już za czasów faraonów, ponad 2700 lat przed naszą erą. Świadczy o tym m.in. zachowany po dziś staroegipski obraz przedstawiający... owcę grającą z lwem.

O warcabach wspomina Homer w „Odysei" i Platon w swoich dziełach. W czasach feudalnych były elementem edukacji rycerstwa, które oprócz znajomości fechtunku, jazdy konnej winno posiadać umiejętność gry w warcaby i szachy. W Polsce miały licznych zwolenników. Wartość ich jako gry intelektualnej, kombinacyjnej i strategicznej uwiecznił po wsze czasy Adam Mickiewicz w przepięknym poemacie pt. „Warcaby".

„...A jeśli niedojrzałej wiosny słotna pora
Lub skwar nas w domu zamknie, albo chłód wieczora,
Czyż to piękną zabawkę wynaleźć zabroni?
Niechaj się czasem umysł i do gry nakłoni...
...Ale czyj duch wznioślejszy, pojętność nie słaba
Takim lepiej rozmyślna przystoi Warcaba...
... A więc naprzód dla Warcab szranki przybierz świetne,
Niechaj je siedem dróg równych z obu stron rozetnie,
Potem czarne i białe strugaj czworościany,
I w miejscach opisanych rozsadź na przemiany..."

Jest wiele odmian warcabów, jednak za najlepsze uznano warcaby stupolowe. Zajmuje się nimi Światowa Federacja Warcabowa – FMJD (Federation de Jeu de Dame). Należy do niej około 24 federacji, w tym i Polska. U nas istnieje Polskie Towarzystwo Warcabowe z siedzibą w Częstochowie (ulica Okólna 17/19). Tam też można zwracać się w sprawach związanych z tą grą. Jak to się stało, że stupolowe warcaby nazywane są polską grą?

Otóż na jednym z licznych spotkań dworskich w Paryżu (a był to rok 1723) u markiza Rydgara zabawiano się warcabami. Przy jednym ze stolików z gospodarzem domu grał Polak Maciej Żubr, oficer ze świty Marii Leszczyńskiej. W pewnym momencie, planując następne posunięcie, zamyślił się, coś szeptał do siebie, kombinował, nie mógł zdecydować się na postawienie kamienia na polu. Po chwili zerwał się i chwyciwszy szachownicę oraz kamienie wybiegł z komnaty. Nastąpiła ogólna konsternacja, przerwano grę także przy innych stolikach. Wszyscy byli zaszokowani, niektórzy sądzili nawet, że Żubr postradał zmysły.

Minęło parę dni i Polak ponownie zjawił się na dworze markiza, ale z nową szachownicą. Była większa (patrz rysunek), miała sto pól, a i kamieni było więcej – po dwadzieścia białych i dwadzieścia czarnych. Żubr przeprosił za swe dziwne sprzed kilku dni zachowanie i wyjaśnił jego przyczynę. Otóż przyszła mu do głowy ciekawa kombinacja, jednak do przeprowadzenia jej zabrakło mu pól i kamieni. Dorysował więc w domu więcej pól i dodał kamieni. – „Proszę spojrzeć, jak można było zagrać. Pozostały mi tylko trzy kamienie na polach: 27, 30, 45, a mój przeciwnik posiadał jeszcze 6 kamieni: 12, 13, 14, 19, 24 i 34. Jeśli dodam pól, mam możliwość zbić mu pięć kamieni" – powiedział. Po czym ujął kamień stojący na polu 45 i zbił kolejno pięć kamieni przeciwnikowi, zatrzymując się na polu 7. Na sali rozległy się gromkie brawa. Wszyscy dyskutowali zawzięcie. Duża szachownica bardzo się wszystkim spodobała i od tego czasu zaczęto grać również w warcaby stupolowe. Z czasem uznano, że są one lepsze od konwencjonalnych i nazwano je warcabami polskimi albo polską grą.

ROMUALD FREY
Fot. **M. Moldenhawer-Frey**

PS. Chcąc Wam pomóc w zdobyciu warcabowych ostróg będziemy zamieszczać w kolejnych (czwartkowych) numerach „Świata Młodych" podstawowe przepisy gry, ciekawe kombinacje i zadania do samodzielnego rozwiązywania. A może pośród Was wyrośnie kiedyś mistrz świata?

Uwaga! Wszystkie „warcabowe" odcinki będą miały jednakowy format. Po ich wycięciu i skompletowaniu uzyskacie wartościową książeczkę.

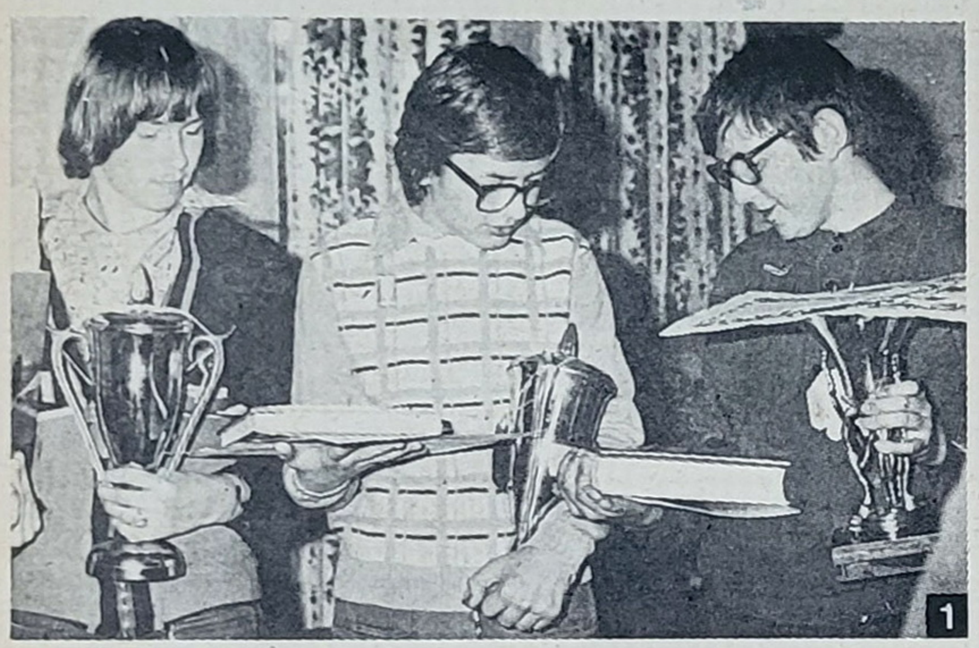
1

Na zdjęciach:

1. Zwycięzcy II Ogólnopolskiego turnieju „ŚM", od lewej: Mirek Kobyliński, Ryszard Przewoźniak i Marek Kuciński

2. Radziecki arcymistrz, Włodzimierz Agafanow, przygląda się grze w warcaby 100-polowe podczas turnieju obozowego

Szwedzi zabierają się za Wisłę

(PAP). Centralny bank informacji o jakości wód Wisły, mieszczący się w Płocku, udostępnił Szwedom dane dotyczące stanu rzeki w ubiegłych dwóch latach. Wiąże się to z rozpoczętą współpracą polsko-szwedzką, która ma na celu zmniejszenie zanieczyszczenia największej naszej rzeki, a w konsekwencji również poprawę sytuacji ekologicznej Bałtyku.

UŚMIECH NUMERU

PANI MĄDRALOWA zaprosiła panią Iksińską na domowe ciasto i kawę.

– To ciasto – chwali się – upiekłam według recepty podanej przez radio..!

– Tak?! To chyba musiały być jakieś przerwy w audycji..!

★

NAJMŁODSZY Mądrala zobaczył żółwia w sklepie zoologicznym.

– Ile kosztuje ten żółw?

– Dwadzieścia tysięcy...

– A bez tego ozdobnego pudełka z płytek..?

ZIIIIMNO...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

musi być długi), może poprzestać na kurtce, powstałej... jakby z przycięcia takiego Wielkiego Płaszcza. Na zdjęciu jest taka.

Obok tego fasonu istnieją oczywiście i kurtki inne, cała masa zresztą, ale o tej wspominam specjalnie, jako Wielkiego Płaszcza pochodnej. Jestem bowiem ogromną zwolenniczką stylu cebulowego (szalenie to praktyczna metoda ubierania się i stwarza przy tym ogromne możliwości zabawnego kompletowania ciuchów na sobie), a więc i Wielki Płaszcz stanowi memu sercu element garderoby bardzo bliski. I jeśli któraś z Was ma właśnie w planie większą inwestycję okryciową, to pomysł do zastanowienia się podrzucam. Innym, które inwestować nie będą, a pomysł im się spodobał, polecam remanent w zakamarkach domowych szaf – takie Wielkie Płaszcze już bywały bardzo modne, więc może coś się Wam uda znaleźć.

A w ogóle, to pamiętajcie – jak jest zimno, ubieramy się grubo!

RIUSZKA

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

punkty zwrotne, oddalone od siebie nie mniej niż 804,6 m.

4. Musi przelecieć nad 3-metrowym wskaźnikiem wysokości po przeleceniu nad linią zapoczątkowującą ósemkę i po raz drugi nad tym samym wskaźnikiem wysokości podczas przekraczania linii kończącej ósemkę.

Po licznych próbach, dokonywanych przez zespoły wyższych uczelni, takich jak Uniwersytet Soupthampton i Aerodynamiczny College Granfield, na czoło wybił się zespół prowadzony przez prof. Paula MacCready jr. Po wielu obliczeniach, próbach, przeróbkach, kraksach i pomysłach „ósemka" została pokonana. „Gossamer Condor", bo tak się nazywał aparat, posiadał konstrukcję wykonaną z rur aluminiowych o cieniutkich, specjalnie trawionych ściankach i był powlekany folią Mylar. Cyklista zajmował w nim pozycję poziomą, aby zmniejszyć jak najbardziej opory powietrza.

Od tej koncepcji zespół MacCready'ego odszedł projektując następną maszynę – „Gossamera Albatrosa", mięśniolot, mający służyć do przelotu nad Kanałem La Manche. Zamiast rur aluminiowych zastosowano jako

„ROWEROWY ŚWIAT"

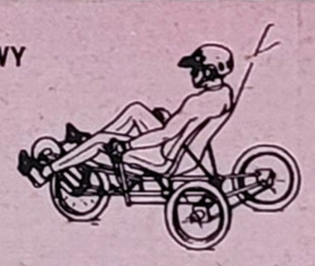

DEDAL I INNI

materiał konstrukcyjny rury z włókna węglowego – znacznie wytrzymalsze i lżejsze. Zamiast strun od pianina odciągi wykonane zostały z Kevlaru, wysokowytrzymałego włókna aramidowego. Jak widać, nowoczesna technologia rodem z kosmosu znalazła swe zastosowanie w budowie pojazdu, którego średnia prędkość wynosiła ok. 18 km/godz.

Następne mięśnioloty były już bardziej aerodynamiczne, powrócono w nich do pozycji poziomej, gdyż mogły one osiągnąć znacznie wyższe prędkości, czyli zyski na aerodynamice okazały się uzasadnione. Nowoczesne tworzywa – kompozyty z włókna węglowego Kevlaru oraz pianek konstrukcyjnych znalazły sobie już na stałe obywatelstwo w projektowaniu mięśniolotów. Rzeczą oczywistą jest, że największy udział miały w wykonaniu najnowszego, rekordowego mięśniolotu „Dedalus", który napędzany przez greckiego mistrza kolarskiego, Kanellosa Kanellopulosa przeleciał 119 km z Heraklionu na Krecie na wyspę Santorin w ciągu 3 godzin 53 min i 30 sek. ze średnią prędkością około 30 km/h.

Jak wynika z przedstawionego tu krótkiego przeglądu pojazdów i zastosowanych materiałów – zbudowanie w Polsce przez osoby indywidualne działającego mięśniolotu nie jest raczej możliwe, co więcej – nie wszystkie instytuty badawcze dysponują wystarczającymi możliwościami. Proponuję więc zająć się tymi pojazdami od strony teoretycznej, zgodnie z radą: „jeśli chce się polecieć do gwiazd, nie ma co włazić na drzewo i wyć do Księżyca, należy zejść na Ziemię i wziąć się za liczenie", zaś metodę „do latania potrzebne są skrzydła i urwisko" stanowczo odradzam...

MAREK UTKIN

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, telex 81-36-58. ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42. **Sekretarz redakcji** Michał Malicki, z-cy sekr. red. Grzegorz Burakiewicz i Małgorzata Szczepańska tel. 28-25-48. **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 21-98-28), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Wojciech Wróblewski (dz. fotoreportażu tel. 21-98-28). **Graficy:** Marlena Hańke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Danuta Drygalska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń 1000 zł za 1 cm². Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: Państwowy Bank Kredytowy III OM Warszawa, nr 370015-5757-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Zakład Poligraficzny Młodzieżowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.

Zam. A-420/89. A-63.
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi Zam. 2829/89

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 130 (4680)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

LUCKY LUKE

12

„ROWEROWY ŚWIAT"

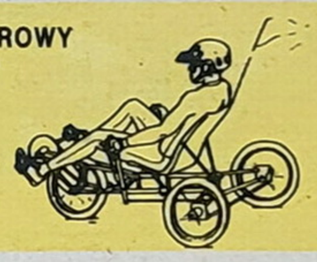

DEDAL I INNI

„Lot człowieka o własnych siłach jest możliwy" – podawało „Science et Vie" z października 1959 roku. 10 kwietnia 1959 r. na słynnej wystawie lotniczej w Le Bourges ogłoszona została nagroda dla pojazdu napędzanego siłą mięśni ludzkich, który uniesie się w powietrze i przebędzie pewien dystans, będąc oczywiście pojazdem cięższym od powietrza. Nagrodzie tej nadano nazwę „Grand Prix International de l' Aviette". „Aviette" był to pojazd, który wygrał konkurs ustanowiony przez firmę Peugeot na przelot 10 metrów na wysokości co najmniej 0,5 metra nad ziemią.

Konkurs rozpisano w roku 1912, „Aviette" zdobyła nagrodę w roku 1921. Nie był to pojazd szczególnie skomplikowany: na rowerze wyścigowym umocowano dwa płaty, wykonane na zamówienie przez firmę lotniczą Nieuport i było to w zasadzie wszystko. Należy jeszcze dodać, że tylny płat był mniejszy i umieszczony niżej od poprzedniego, oraz aby umożliwić takie jego umiejscowienie – zastosowano zmniejszone koło tylne w głównym elemencie konstrukcji. Napędzający całość mistrz kolarski Gabriel Poulain za pierwszą próbą osiągnął odległość 11,98 metra, osiągając pułap 1,5 m, zaś w czasie następnego przelotu w przeciwnym kierunku (który był wymagany regulaminem) – 11,59 m. Niestety, komisja sędziowska nie uznała tego przelotu, ponieważ Poulain wystartował nie między liniami, wyznaczającymi start, lecz sprzed nich. Zgromadzona publiczność była jawnie niezadowolona, lecz Poulain poprosił o godzinę na odpoczynek i stwierdził, że jest w stanie wykonać drugi podobny przelot. Po rzeczonym czasie (a zaczynało robić się ciepło, co spowodowało rozrzedzenie powietrza) Poulain wykonał drugą serię przelotów – 10,54 metra (prasa lotnicza stwierdziła później, że rzeczywista odległość wynosiła 11,72 m) i – najdłuższy lot dnia – 12,30 m.

Robert Peugeot zareagował na ten sukces ustanawiając następną nagrodę – 20 000 franków za przelot odcinka 50-metrowego. Nagrody tej nie zdobył nikt, gdyż technologia w owych czasach nie stała na wystarczająco wysokim poziomie.

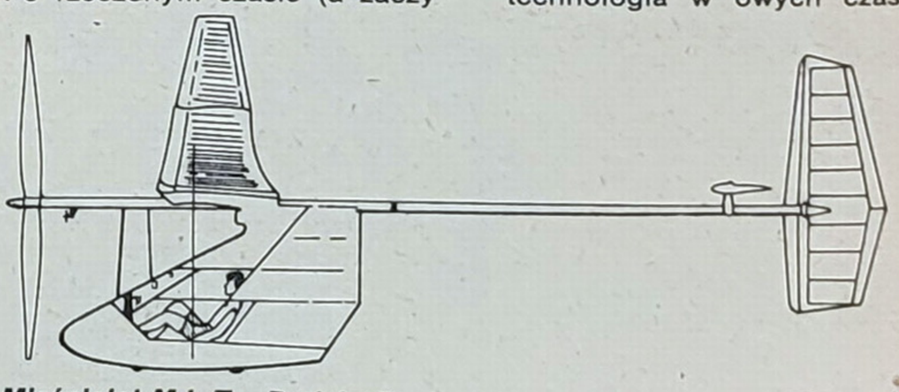

Mięśniolot M.I. T. „Dedalus" Rys. **autora**

W roku 1959 brytyjski przemysłowiec, Henry Kremer, ufundował nagrodę dla aparatu latającego, napędzanego siłą mięśni ludzkich. Kremer, związany osobiście z lotnictwem (był autorem m.in. patentu na przetwarzanie drewna wykorzystywanego do budowy myśliwców „Mosquito") i rozwijaniem sprawności fizycznej, poprosił o opracowanie szczegółowych zasad Królewskie Towarzystwo Aeronautyczne.

Zasady wymagały, aby pojazd był:

1. Maszyną cięższą od powietrza, napędzaną i sterowaną wyłącznie przez jej załogę.
2. Musi ona wystartować z poziomu gruntu, wyłącznie napędzana mięśniowo i w spokojnym powietrzu.
3. Musi wykonać figurę leżącej ósemki, zawierająca dwa

DOKONCZENIE NA STR. 7

Projekt francuskiego mięśniolotu z końca lat 50 Repr. **autora**

ŚWIAT MODY

ZIIIIMNO...

Niestety, nie żyjemy w Afryce i w okolicach października robi się zimno. Co gorzej, będzie tak już do wiosny. Trzeba się do tego przystosować. Przystosowanie polega na odpowiednim ubiorze. Logika tej odpowiedniości jest prosta: gdy ciepło – ubieramy się lekko, a gdy zimno – ubieramy się grubiej. Aby nie zmarznąć.

Do stopniowania grubości przyodziewku (temperatury wszak się zmieniają) znakomicie służy styl zwany „cebulką", czyli po prostu warstwowy. Wraz z ruchem rtęci w termometrze albo jakąś warstwę likwidujemy, albo dokładamy. Aby jednak ten styl stosować, trzeba się zaopatrzyć w odpowiednią warstwę wierzchnią. Odpowiednia – znaczy w tym miejscu: wiatroszczelna, wodoodporna no i tak duża, aby się pod nią wiele innych swobodnie mieściło. Rolę owej warstwy wierzchniej znakomicie spełnia WIELKI PŁASZCZ, który sam w sobie już się z warstw składa, bo często bywa z podpinką, którą się daje szybko odpinać i przypinać. Na przykład za pomocą zamka błyskawicznego. Wierzch płaszcza powinien być z tkaniny choć trochę impregnowanej – są teraz takie bawełny, elanobawełny, drelichy... Rozmiar płaszcza, jak sama nazwa wskazuje, powinien być duży.

Ten Wielki Płaszcz nie jest wymysłem najnowszym, ale w obecnym sezonie stanowi jeden z istotnych elementów. Kto płaszcza nie cierpi (są dziewczyny, które nie znoszą, jak im się coś plącze koło łydek, a taki płaszcz

DOKOŃCZENIE NA STR. 7